

# ANDRZEJ DRZEWIŃSKI

## Ósmy dzień stworzenia

*A kiedy Pan odpoczął,  
zabrał się ponownie do pracy,  
gdyż zajęć było moc*

Wózek inwalidy zobaczyli już z daleka. Skrzypiąc, przecinał hol, napędzany monotonnym ruchem dłoni, odzianych w skórzane rękawiczki. Rolniak szepnął coś krótko i stojący obok Rogacki lekko wydał wargi. Budynek ministerstwa jest dla wszystkich, to prawda, lecz kaleka nie pasował za bardzo do tych gładko ogolonych, dobrze ubranych urzędników. Cichy gong obwieścił, że nadjechała winda.

– Panowie, czekajcie – wstrzymał ich głos zza pleców. – Ja z wami.

Na krótkie spojrzenie rosnącego partnera Rolniak odpowiedział wzruszeniem ramion. Nie wypadało robić cyrku.

– Proszę. – Ochroniarz usunął się na bok i mocnym pchnięciem pomógł mężczyźnie w wózek przekroczyć próg windy. – Pan na które piętro?

Inwalida poprawił czarne okulary i w nieokreślony sposób machnął dłonią. Rogacki zinterpretował to po swojemu, wciskając najwyższy guzik. Tam właśnie jego szef miał za pięć minut ważne spotkanie. Gdy winda ruszyła, Rolniak wciągnął głębiej powietrze. Niedługo powinien mieć dokument w teczce, a wtedy... Jego uwagę przykuły dłonie inwalidy. Rękawiczki wyglądały na całkowicie nowe. Nie pasowały do rozklekotanego wózka i stroju kaleki. Przytrzymując się ściany, poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Przez spotkanie zaniedbał czujność, lecz było już za późno.

– Chcesz nas zgubić, Rafał, lecz ja ci nie pozwolę. – Człowiek wstał, a czarne okulary zsunęły się na podłogę.

Przez sekundę wpatrywali się w bladą twarz, trudną do zidentyfikowania w mrugającym świetle lampy. W końcu Rolniak szarpnął swego towarzysza za ramię.

– Zastrzel go! – krzyknął ostro. – Natychmiast!

Ten, z w półotwartymi ustami, wsunął dłoń pod marynarkę, ale nie zdążył chwycić za kolbę rewolweru, gdy nagle opuścił wzrok. Na rękę kapnęła mu duża kropla wody. Sekunda i w windzie lunął rześisty deszcz – istny potop z sufitu. Rolniak próbował wyszarpnąć pistolet ochroniarza, lecz poślizgnął się na mokrej podłodze i upadł na wózek, już niemal po osie stojący w wodzie. Krople rodziły się z powietrza, jak z kapelusza magika. Wpadały do oczu, siekły po twarzy i tamowały oddech. Pięść Rogackiego uderzyła rozpaczliwie w przyciski. Zanurzony po pas, w lepjącym się do ciała ubraniu, stracił całkowicie zdolność myślenia. Szok i brak powietrza sprawiły, że nie wiedział, gdzie drzwi, a gdzie ściana. Słyszał sapanie Rolniaka próbującego wymacać broń, lecz go nie widział. Gdy woda zaczęła mu się wlewać do ust, poczuł, że śmierdzi mułem. Ktoś nadepnął mu na stopę, a potem usłyszał stłumiony krzyk.

– Nie, nie chcę!

Gdy przebrzmiał ten skowyt, zgasło światło i winda się zerwała. Tak wielka masa nie miała żadnych problemów w pokonaniu wszystkich zabezpieczeń. Niczym gigantyczny tłok poczęła spadać w dół z demonicznym gwizdem wypychanego z szybu powietrza. Świadom braku swego ciężaru, ochroniarz zatrzepotał rękoma, rozpaczliwie pragnąc powstrzymać przeznaczenie. Migły smugi światła z kolejnych pięter i w pyle wodnym spostrzegł ciemną sylwetkę Rolniaka, wykonującą przedziwne pląsy. Potem niespodziewanie dojrzał twarz nieznanego. Znowu ciemność i kilka zdarzeń, których nigdy do końca nie uporządkował. Mieszanina wody i powietrza zawirowała, coś straszliwie ścisnęło jego płuca, rozbłysk światła, potężne uderzenie w twarz i wtórujący temu przeraźliwy huk. Rozpisany na wiele dźwięków, zabrzmiał niczym finalny akord perfekcyjnie zagranej partytury. Odłamki drewna i metalu uderzyły go, raniąc w plecy, a moment później fala wody wyrzuciła Rogackiego na zewnątrz. Trzepnął o coś głową, ktoś z boku upadł, zewsząd dobiegały przeraźliwe krzyki. Kaszłąc, z bólem uniósł się w końcu na łokciu i

rozpoznał hol ministerstwa. Mrugając otępiele, nie mógł pojąć zmian, które tu zaszły. Potraskane kawałki futryny, obryzane ściany, dywan... W miejscu, gdzie stali parę minut temu, ziała wyrwa po drzwiach windy. Opuścił głowę i z namysłem spojrzął na foliową torebkę, którą ścisnął w dłoni. Potem upadł twarzą na zrolowany dywan i ostatnią rzeczą, jaką sobie przypomniał, była twarz nieznanego, tak jak ją widział tuż przed upadkiem. Ten człowiek uśmiechnął się do niego.

\*\*\*

Marcowe słońce prześwietlało bezlistną koronę drzewa, zmuszając Zbigniewa Orszewskiego do opuszczenia głowy. Nie pozostało mu nic innego, jak wbić wzrok w grudę ziemi koło buta i słuchać przemówień. Nie płakał, ten etap miał już za sobą. Zresztą jego stosunki z ojcem zawsze były bardzo męskie. Bez pocałunków na pożegnanie czy kordialnych gestów. Wystarczyła uścisk dłoni. Przetarł palcami powieki, nienawistna świadomość czegoś bezapelacyjnie i nieodwracalnie utraconego była jednak gorsza, niż przypuszczał. Matkę stracił już dawno, więc z ojcem łączyła go tym silniejsza więź. Do jego świadomości dotarło, że głos zabiera już kolejny mówca. Słowa płynęły ciężko i smutno, jak wilgoć leżąca na trawie po nocnym deszczu. Szare niebo, twarze ludzi i rzędy grobów zlały się w jedną, osobliwą mozaikę. Schylił się i wzięwszy grudę ziemi, rzucił ją w dół, skąd wydobyło się ciche pacnięcie. Twarze, dłonie, usta szepczące słowa pociechy czy żalu, nie miało to dla niego znaczenia. Chciał, aby rytuały skończyły się jak najszybciej, zamykając definitywnie to, co i tak utracone. Jeszcze spojrzął na wysokie drzewo, jakby pragnąc zapamiętać miejsce, i ruszył do wyjścia. Przy postoju taksówek podziękował za towarzystwo, lecz kilka przecznic dalej kazał szoferowi stanąć i wysiadł.

Spacer nieco uspokoił Zbyszka. Rzeczywistość wykonała jeden pełny obrót i na powrót osadzała się w starym łóżysku. Niespodziewanie odkrył, że znalazł się w pobliżu mieszkania ojca. Stary Orszewski wynajmował je w nowej plombie, jakich sporo wyrosło ostatnimi laty wokół wrocławskiego Rynku. W kieszeni płaszcza wymacał klucze zabrane z kupki drobiazgów, które dano mu na policji. Wspiął się po stopniach stromej klatki schodowej. Sądził, że nikt go tutaj nie znajdzie. Otępieły od bólu wyjął z lodówki dyżurną butelkę wódki i karton soku. Nalał alkoholu na dwa palce, przytrzymał sok w dłoni, lecz w końcu odłożył karton na miejsce i dolał jeszcze trochę wódki. Wypił w poczuciu głębokiej krzywdy, która go spotkała.

Po paru minutach siedział w fotelu i przeglądał rodzinne zdjęcia. Wrzucone luzem do albumu wysuwały się na boki przy każdym gwałtownym ruchu. Wycieczka do Warszawy, wszyscy razem – ojciec w kapelusiku z szarotką – jadą kolejką na Kasprowy, jakieś przyjęcie, nawet pochód pierwszomajowy się zaplątał. Na kilku starszych zdjęciach dojrzał ślady pióra – pozostałość dawnej manieri ojca. Często miał wrażenie, że kogoś zna, choć spotykał go pierwszy raz w życiu. Potrafił zbierać wycinki z gazet, bazgrać po fotografiach, usiłując w ten sposób dopomóc pamięci. Całe życie miał opinię osoby roztargnionej. Na uczelni znany był z tego, że kłaniał się obcym osobom, a znajomych nie poznawał. Z czasem mu to przeszło, a może po prostu lepiej się pilnował.

Rozległ się gong u drzwi i Zbyszek poczuł, że serce bije mu szybciej. Nerwy rozhuśtane emocjami dnia poczynały odmawiać posłuszeństwa. Na palcach wszedł do przedpokoju i zajrzał w wizjer. Mężczyzna około trzydziestki patrzył wprost na niego, jakby wiedząc, że ktoś się kryje za cienką osłoną drzwi. Drżącymi palcami założył łańcuch i zwolnił zamek.

– Słucham? – Nawet gładko pokonał bezwład języka.

Nieznajomy starał się przybrać budzący zaufanie wyraz twarzy.

– Jestem Rogacki. Pana ojciec... – zawahał się. – To ja uratowałem się z windy. Musimy porozmawiać. Kiedy wpuszczał go do środka, nieznajomy uśmiechnął się przepraszająco.

– Szedłem za panem od cementarza... – urwał, zauważając połyskliwą ławicę fotografii zalegających stolik.

Zbyszek wskazał gościowi fotel.

– Dziwne, że mnie pan nie zgubił. Jechałem taksówką.

– Tego mnie uczono. – Mężczyzna stał, dopóki gospodarz nie zajął miejsca. – Co panu powiedzieli na policji o wypadku?

Zbyszek trącił butem leżącą na podłodze fotografię.

– Nieszczęśliwy traf, pękła lina. – Wzruszył ramionami. – Mętnie to tłumaczyli.

Nie wiadomo dlaczego w następnym pytaniu usłyszał kpinę.

– Pana ojciec nie używał wózka inwalidzkiego?

– Bzdura.

– Też tak myślałem. – Rogacki potarł podbródek, a potem opisał wygląd Orszewskiego tamtego poranka.

Irytacja wywołana całą rozmową sprawiła, że myśli Zbyszka zaczęły szybciej wirować.

– Przecież powinni mi o tym powiedzieć.

– Też tak myślę. – Jego gość uśmiechnął się kącikiem ust.

– Do cholery, mój ojciec nie był Jamesem Bondem!

Rogacki był nieporuszony.

– Dlatego tu przyszedłem – stwierdził sucho. – Lepiej proszę posłuchać.

Zbyszek miał ochotę wyrzucić faceta za drzwi, jednak teraz zaczęło docierać do niego coś prawdziwego w całej tej historii. Słuchając, uniósł fotografię z podłogi. Matka jeszcze wtedy żyła. W jasnej sukience stała na plaży w Łebie czy gdzieś tam.

– I proszę zapamiętać. – Rogacki zaakcentował te słowa. – Nie wiem. Nie mam pojęcia jak, ale dam sobie głowę uciąć, że pana ojciec uratował mi życie.

Upredzając pytanie, rozłożył ręce.

– Wiem, spadaliśmy w zamkniętej windzie. – Potrząsnął dłońmi. – Ja nie rozumiem, ja wiem. Dzięki niemu żyję. I gównu mnie obchodzi, dlaczego spadł ten pieprzony deszcz.

Zbyszek, wiedziony intuicją, odezwał się znad obracanej w palcach fotografii.

– Pan nie lubił swego szefa?

– Rolniaka? – Rogacki zmrużył oczy. – Nie lubiłem, ale dobrze płacił.

Pochylony, jakby szukał w twarzy Zbyszka zachęty do dalszej rozmowy, wolno kontynuował:

– Jest jeszcze jedno. Ten wypadek zmienił mnie. Może gadam głupstwa, ale do dziś czuję spojrzenie pańskiego ojca. Nie pamiętam, ale właśnie czuję. Dzięki niemu coś się we mnie obudziło.

Urwał. Zbyszek uśmiechnął się skąpo, niepewny, jak rozumieć tę skomplikowaną metaforę. Rogacki westchnął, wstał i wskazał wzrokiem łazienkę.

– Mogę skorzystać?

Oczywistość odpowiedzi nie wymagała słów. Słyszając szum wody, Zbyszek poszedł do kuchni, aby przygotować sobie ten sam jednoskładnikowy koktajl. Tylko nigdy nie mieszaj, śmiał się ojciec, a potem lubił opowiadać historię z jakiegoś przyjęcia w Moskwie, gdzie nieopatrznie pił koniak z szampanem. Zbyszek nie mieszał i za trzecim razem, a potem wrócił do pokoju.

Rogacki stał pośrodku i zdawał się szykować do wyjścia. Zbyszek nie zatrzymywał go. Musiał wszystko przetrwać. Kiedy otworzył drzwi, poczuł w palcach cienki kartonik.

– Tu są moje namiary. – Usłyszał dziwny żar w głosie gościa. – W razie potrzeby proszę dzwonić o każdej porze.

Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby podziękować. Przeszedł do pokoju i opierając głowę o chłodną szybę, spojrzął na podwórko. Nic nadzwyczajnego, brudna piaskownica, trzepak i kilkoro dzieci, a on mu tu o cudach opowiada. Po prostu winda trzepnęła o dno, Rogackiego wyrzuciło... Nie zdążył przyznać się przed sobą do kłamstwa, gdyż natarczywy dźwięk przerwał ciszę. Rozejrzał się, szukając wzrokiem telefonu, lecz dopiero drugi dzwonek naprowadził go na miejsce. Ojciec lubił rozmawiać, pławiąc się w wannie.

– Słucham. – Domknął drzwi łazienki. – Orszewski.

– Dzień dobry, tu Malicki. W porządku, pasuje mi. Może być jutro.

Dopiero teraz pojął, że jest brany za ojca. Jednak wypity alkohol mieszał w głowie.

– Tak – powiedział pierwsze słowo, jakie mu przyszło na myśl.

– A więc będę czekał przed pana domem o szóstej rano. – Rozmówca zaśmiał się. – Proszę nie brać ciepłych skarpet. Naprawiłem dmuchawę i w wozie będzie grzało.

– Świetnie. – Nie wiedział, jak wyjaśnić nieporozumienie, lecz tamten wybawił go z kłopotu.

– To do widzenia.

Opuścił słuchawkę na widełki i wolno przysiadł na krawędzi wanny. Miejsce koło aparatu, gdzie ojciec zazwyczaj trzymał notes z telefonami, było puste. Za to na półce wyżej coś połyskiwało. Torebka, mała foliowa saszetka z żółtym proszkiem. Obrócił ją w palcach i spojrzął przez okno na szare, miejskie niebo.

– Boże – szepnął – co się dzieje?

\*\*\*

Źle spał tej nocy. Śniła mu się plaża, razem z matką szukał ojca wśród wydm. Sen był tak męczący, że aż go obudził. Stał potem przy oknie i dłuższą chwilę obserwował wygaszone prostokąty okien.

Nocował w kawalerce ojca. Nie chciał przegapić rannego spotkania czując, że pozwoli mu ono odsłonić coś nowego. Teraz czekał za szybą klatki schodowej, z rękoma w kieszeniach palta. Nie wiedział, jak zacząć rozmowę, samo musi się ułożyć. Tak też się stało. To była taksówka – mercedes w niezłym stanie. Kiedy zatrzymała się przy krawężniku, podszedł i zapukał w szybę.

– Nic z tego! – Tęgawy kierowca wskazał czerwoną lampkę. – Czekam na kogoś.

– Jestem synem Jana Orszewskiego – zawołał, przytrzymując kołnierz płaszcza. – Muszę panu coś powiedzieć.

Taksówkarz nachylił się do szyby, jakby sprawdzając tożsamość, a potem uchylił drzwiczki.

– Coś z ojcem? – spytał i roześmiał się. – Faktycznie, jesteście podobni.

– Byliśmy. – Zbyszek podał gazetę. – Musiał pan przeoczyć.

W miarę czytania twarz kierowcy powlekał coraz głębszy cień. W końcu, oderwawszy wzrok od tekstu obwiedzonego czarną ramką, przecesał palcami resztki włosów na skroniach.

– Co za nieszczęście, taki porządny klient. – Pokręcił głową. – Wpadł pod samochód?

– Nie, spadł z windą. – Mimo woli zauważył komizm dialogu. – Lina pękła.

Ulicą szło parę osób i Zbyszek wyłączył światelko, zostawiając wewnątrz rozjaśnione jedynie szarością świtu. Malicki smętnie pokiwał głową, lecz nagle uniósł ją do góry.

– Zaraz, przecież to był jego głos.

Jakieś nowe uczucie pojawiło się w umyśle Zbyszka. Drażniło i przypominało o tym, co czasem w nocy wywoływało w nim strach.

– Nie rozumiem.

– No, wczoraj. – Malicki o mało nie podskoczył. – Zadzwoń do mnie pański ojciec i spytał, czy możemy jechać dzisiaj z rana. O Boże...

Jęknął i ponownie zerknął na klepsydrę. To nowe uczucie narastało, dławiąc oddech Zbyszka.

– Jest pan pewien?

– No, słyszałem. Łała się woda, pan Janek często dzwonił przed kąpielą. Mówił, że wtedy najlepiej mu pamięć pracuje. – Wysiłek na twarzy taksówkarza był wręcz karykaturalny. – Głowę bym... chociaż zaraz. Za drugim razem to był chyba ktoś inny.

Podejrzliwie spojrzął na Zbyszka, a ten nie mógł go zawieść. Co w końcu miał powiedzieć? Że miał wizytę nieznajomego, który wlaź mu do łazienki i wydzwaniał po ludziach, udając jego ojca?

– Przepraszam – pochylił głowę, jakby oczekiwał ciosu – nie powinienem. Wczoraj znalazłem numer pańskiego telefonu z niejasnym dopiskiem, no... – Udał, że szuka słów. – Nie wiedziałem, jak zacząć. Głupio wyszło, ale po tym pogrzebie.

Irytacja na twarzy kierowcy wolno zaczęła ustępować miejsca współczuciu. Ścisnął mu ramię.

– W porządku, rozumiem.

Zbyszek uśmiechnął się z wyrazem cierpienia. On sam nic nie rozumiał. Jak Rogacki ze swoim dość wysokim głosem mógł naśladować jego ojca? Malicki opuścił szybę i wypuścił dym ze świeżo zapalonego papierosa. Zbyszkowi przyszło na myśl, że jemu pewnie za karę nie zaproponował.

– Proszę mi powiedzieć... – zebrał się na odwagę. – Gdzie pan woził tatę?

– Pan nie wie? – Malicki spojrzął z nieukrywanym zdziwieniem. – Do Warszawy, ostatnio nawet tam pokój wynajął. Ho, ho, już sporo lat z nim jeżdżę.

Zbyszek chwilę się oswajał z nowiną, w końcu wyciągnął portfel.

– Chciałbym tam pojechać. Płacę normalnie.

– Poważnie? – Kierowca klepnął w kierownicę, lecz zaraz spoważniał. – Nie ma mowy. Zwróci pan tylko za benzynę. To się należy panu Jankowi. Proszę sięść z tyłu i zdjąć płaszcz. Tak będzie wygodniej.

Mimo że wypytywał Malickiego, ile się dało, i tak zdążył się przespać. Taksówkarz woził ojca nieregularnie. Zazwyczaj zostawiał go w centrum i resztę dnia miał dla siebie albo wracał po paru dniach. Nie miał pojęcia, czym się Orszewski zajmował. Wspominał jedynie, że prowadzi badania naukowe. Malicki historią ani socjologią się nie interesował, więc nigdy nie drażył tematu. Przypominając ostatnie lata, Zbyszek uświadomił sobie, że istotnie nieraz nie mógł złapać ojca telefonicznie, a i o konferencjach słyszał podejrzenie często. Nawet kiedyś pomyślał, że może ma kogoś na boku, lecz jak widać, sprawy wyglądały inaczej.

W samochodzie dobrze grało, a kiedy dojechali w południe do Warszawy, po porannych deszczach nie został nawet ślad. Niestety, rozmowa z właścicielem willi nie wniosła nic nowego. Ojciec już przed miesiącem wypowiedział pokój, a tydzień temu zabrał ostatnie drobiazgi. Pomagał mu tęgi facet, około sześćdziesiątki. Przypominał właścicielowi willi jakiegoś znanego aktora, ale nie mógł sobie uświadomić jakiego.

Kiedy Malicki gadał na dole o wyższości mercedesa nad audi, Zbyszek poszedł na górę rzucić okiem na nie zajęty jeszcze pokój ojca. Niewielki, z kilkoma podstawowymi sprzętami, wychodził na ogród zamknięty trzema wysokimi topolami. Chwilę szukał w woni pomieszczenia czegoś znajomego, potem zajrzał pod łóżko, na najwyższe półki i dopiero w szufladzie mahoniowego biurka odkrył pustą papierową teczkę. Identyczną z tymi, które ojciec trzymał w swoim archiwum. Marszcząc brwi, wolno opadł na krzesło. Już wiedział, czego mu brakowało w kawalerce ojca. Notatek, wycinków, zestawień – całego tego majdanu. Próbując pojąć znaczenie tej informacji, raz jeszcze zanurzył dłoń w szufladzie i końcami palców wyczuł coś gładkiego. Folia, jakby urwany brzeg woreczka z nietypowym wzorkiem. Otworzył portfel i wyłuskał saszetkę znaną w łazience. Była identyczna. Uniósł pod światło obserwując, jak przesypują się drobne ziarenka.

Z parteru dobiegł przytłumiony śmiech. Widać właściciela aut znaleźli kompromis. Wsunął róg torebki między zęby i mocno szarpnął. Rozerwała się na całej długości. Rozchylił jej brzegi i delikatnie pociągnął nosem. Nic. Spróbował ponownie, lecz teraz już zdecydowanie. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, a potem pokój obrócił się do góry nogami. Kiedy nieodparta siła ciężenia pociągnęła go w dół – ku sufitowi – rozpaczliwie złapał za brzegi krzesła, lecz ono przeistoczyło się w samochodowy fotel. Mercedes Malickiego, droga w jasnym świetle dnia, migają krzaki. Wiedział, że śni, lecz doskonałość wizji zdawała się temu przeczyć. Hamowanie, na drodze stoi jasnowłosa dziewczynka z przerażeniem zakrywająca oczy. Ma pięć, może sześć lat. Obok stroma skarpa pobocza, z drugiej strony krzewy, samochód tańczy, Malicki krzyczy oderwane słowa. Przy tej prędkości zjechać z drogi to pewna śmierć. Próbuje ominąć małą, lecz pędzącą z przeciwka ciężarówkę... Gwałtowne uderzenie, drobny deszcz kropel na szybie i, dopiero wtedy, kątem oka Zbyszek dostrzega z lewej strony łagodny zjazd w pole. Przedtem całkowicie zasłaniały go zarośla.

Jęcząc, odzyskiwał powoli przytomność. Poczul coś mokrego na twarzy, a potem ból z tyłu głowy.

– No, ale pan uczuciowy. – Malicki podsuwał szklanekę z wodą. – Lepiej?

Zbyszek pijąc skinął głową. Szumiało w niej, jakby trzymał pod czaszką gniazdo os. Niczym bokser po nokaucie uniósł się ciężko na drżących nogach. Kurewski narkotyk, pomyślał i wtedy dotarło to do niego. Ojciec i prochy, o Jezu!

– To jak? Wracamy do Wrocławia czy lepiej na obiad?

Otumaniony, pragnąc opóźnić wyjazd z Warszawy, skwapliwie zaakceptował propozycję taksówkarza. Wizja była tak bardzo realna, że nigdy nie zgodziłby się teraz na jazdę szosą w świetle dnia. Są tajemnice, które lepiej omijać. A poza tym, psia mać, musiał strzelić sobie coś mocniejszego.

Całe popołudnie zajęły im odwiedziny warszawskiej gastronomii i wizyta w paru sklepach motoryzacyjnych, gdzie Malicki szukał jakiejś części. Nic więc dziwnego, że kiedy opuszczali stolicę, słońce chowało się za niskimi domami przedmieścia. Taksówkarz trajkotał bez przerwy, lecz na szczęście za odpowiedź wystarczały mu sporadyczne mruknięcia. Wiatr spod uchylonej szyby muskał czoło Zbyszka, wpatzonego w zmierzch opadający na pola. Narkotyki – słowo to zdominowało wszystkie myśli. Nie mógł uwierzyć, że ojciec mógł mieć z tym związek. Ze swoimi poglądami, czasami wręcz chorobliwą uczciwością?

Z drugiej strony nigdy też nie przypuszczał, że jego ojciec prowadzi podwójne życie. „Profesor uniwersytetu handlarzem narkotyków” – wyobraźnia podsunęła gazetowy tytuł.

– Idiota – syknął, o ton za głośno, gdyż Malicki zerknął w lustro.

Zbyszek uśmiechnął się i udał, że zapada w drzemkę. A Rogacki? Prawie był pewien, że torebki nie było w łazience przed jego przyjściem. Zbyszek umył ręce, zanim zaczął oglądać zdjęcia – taki stary nawyk wyuczony przez matkę. A może to jakaś prowokacja?

Tknięty nagłą myślą, zerknął za siebie, lecz szosa była pusta, żadnych świateł. Wysupłał z kieszeni folię z resztką proszku i wypchnął za opuszczoną szybę. Wiatr momentalnie porwał strzęp folii w trawę pobocza. Wytarł starannie palce o spodnie, a kiedy uniósł wzrok, dojrzał coś jasnego w świetle reflektorów.

– Jezus, Maria! – krzyknął Malicki i samochód wszedł w skomplikowany zygzak.

To nie było słońce, przemknęło przez głowę Zbyszka. Jego umysł precyzyjnie odróżniał szczegóły. Po prawej, w dole skarpy wokół traktora kręcili się ludzie. Jedna z sylwetek, oderwawszy się od grupki, biegła w ich stronę. Krzyczała. Niepotrzebnie. Jej głos wystraszył dziecko i sprawił, że stanęło sparaliżowane pośrodku drogi. Wszystko to zarejestrował w ułamku sekundy, a później spostrzegł światła ciężarówki.

– Weźcie ją, ludzie! – Malicki szarpał kierownicę, zerkając rozpaczliwie na boki.

Kierowca ciężarówki wduszał klakson raz za razem, lecz dzieciak tylko osłonił głowę. Miał najwyżej trzy sekundy życia i następny ruch należał do Zbyszka. Rzucił się przez oparcie fotela, złapał kierownicę i z całej siły skręcił przed rosnącą w oczach ciężarówką.

– Co robisz?! – zawył Malicki, próbując go odepchnąć, lecz Zbyszek legł na nim całym ciężarem.

Przecięli oś jezdni i w ulewie reflektorów TIR–a wypadli na przeciwległe pobocze. Taksówkarz zaskomlał, widocznie oczekując lotu w powietrzu, a później upadku w trzasku blach, lecz samochód jedynie szurnął po żwirze i zjechał na polną drogę. Przejechawszy kilkadziesiąt metrów, stanęli. Zbyszek poczuł, jak jest nieznośnie duszno. Odpychając się nogami, odnalazł klamkę i raczej wypęzł, niż wyszedł na pole.

W nikłej lunie zachodu, na szosie, niczym na scenie, stała ciężarówka i kilka innych samochodów. Między nimi kręcili się ludzie, ktoś wskazywał w ich stronę. Zbyszek opuścił czoło na chłodną blachę dachu. To nie był zwykły narkotyk, miał na to dowód.

– Skąd wiedziałeś?

Przekręcił głowę. Malicki siedział w otwartych drzwiach, z nogami w rozkopanej ziemi.

– Przeczucie. – Zbyszek odchrząknął. – Coś mignęło mi za krzakami, jakby zjazd.

Umilkł. Taksówkarz wcale go nie słuchał, tylko nieobecny wzrokiem patrzył przed siebie.

– Podobni. – Pokręcił wolno głową. – Wy rzeczywiście jesteście podobni – szepnął raz jeszcze. Z tyłu nadchodziło kilka osób.

\*\*\*

W pracy wziął tydzień urlopu, ale i tak nikt się o nic nie pytał. Zastępstwo w zajęciach znalazł bez kłopotu, a przy wyjściu dostał jeszcze od kolegi zdjęcia z pogrzebu. Przejrzał je w domu, lecz bez większych wzruszeń. Do szklanki z sokiem wlał nieco żytniej i zapadł się w fotelu. Matka byłaby zła, widząc jego poczynania. Jeszcze na studiach tolerowała pijackie eskapady Zbyszka, lecz kiedy zaczęły zwracać uwagę osób trzecich, poprosiła, aby poszedł na spotkanie AA, czyli Anonimowych Alkoholików. Bardziej od prośby poruszyła go wiadomość, że ona sama chadza tam od dobrych kilku lat. Na spotkanie nie poszedł, ale obiecał, że ograniczy picie. Do jej śmierci dotrzymywał słowa, potem było nieco gorzej. Teraz jednak, po wypadku ojca, zbyt często się... zapominał. Przymknął powieki. Tak, będzie musiał to sobie przemyśleć, ale jeszcze nie dzisiaj. Dzisiaj za bardzo bolało.

Świadomie uciekł do wydarzeń z dnia wczorajszego. Szkoda, że opakowanie po proszku wywalił przez okno. Ma znajomego chemika, może ustaliłby skład... Przechylił szklaneczkę i czując pieczenie na języku, szybko przełknął zawartość. Pewnie to był jakiś wysuszony kaktus czy inna egzotyczna rzadkość. Zresztą kto uwierzy, że dzięki niemu można przewidywać przyszłość. Jak to się nazywa, prekognicja. Następny łyk smakował lepiej. Dlaczego Rogacki podłożył mu ten środek? Zbyszek zadzwonił z rana pod numer z wizytówki, lecz nikt nie podnosił słuchawki.

Gong u drzwi sprawił, że parę kropli wylądowało na spodniach. Dla pewności dopił resztę i poszedł otworzyć. Nawet dobrze skrojony garnitur i płaszcz nie potrafiły skryć otyłości nieznanego. Spod gęstych brwi spoglądały na Zbyszka zadziwiająco błękitne oczy, a całość dopełniał oszczędny uśmiech.

– Moje nazwisko Traczyk. Prowadzę dochodzenie w sprawie wypadku Jana Orszewskiego. – Uniósł tekturkę legitymacji. – Można?

Jeszcze przedwczoraj zdziwiłby się, lecz dzisiaj, trochę zbyt szerokim gestem, zaprosił gościa do środka. Sobie zaaplikował sok wzmocniony, a Traczykowi zwyczajny i zaczął czekać na wyjaśnienia.

– Dotarły do pana jakieś plotki? – Gość zaczął nietypowo.

– Nie rozumiem. – Zbyszek oderwał wargi od szklanki.

Traczyk pokiwał do siebie głową.

– A słyszał pan o „komórce przesiewu”?

To już go wkurzyło.

– Pan prowadzi śledztwo czy ankietuje dla Koła Fortuny?

Uśmiech świadczył, że nieznanemu nie jest obce poczucie humoru. Nieoczekiwanie wstał, podszedł do uchylonego barku i bez pytania wlał do soku solidną porcję wódki.

– Dobra, zacznijmy raz jeszcze – mruknął i rozpiął marynarkę. – „Komórka przesiewu” powstała w połowie lat pięćdziesiątych przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Jej kompetencje, jak i zadania, nie były do końca jasne chyba nawet dla samych pomysłodawców.

Jego okrągłą twarz rozjaśnił porozumiewawczy grymas, w którym, ku swemu zaskoczeniu, Zbyszek odkrył coś z mimiki ojca.

– Z grubsza chodziło o zbieranie i analizę wszelkich danych z życia osobistego i publicznego kluczowych dla kraju postaci ze świata nauki, kultury i sztuki. Faktów, które nie podlegają rutynowym procedurom śledczym, a mogą znamionować, na przykład, że obcy wywiad kimś się interesuje.

– Aha. – Zbyszek wchłonął kolejną porcję mikstury. – Jeśli znany profesor struł się w knajpie, gdzie zwykł jadać personel ambasady amerykańskiej, mogło to świadczyć o robocie CIA.

– Niewiele pan się myli, ale mówmy poważnie. – Traczyk splótł ręce na brzuchu. – Mimo wszelkich zmian ustrojowych, jakie przeszedł nasz kraj, komórka nadal istnieje i jej opracowania są brane pod uwagę.

– Dobra jest. – Zbyszek poczuł, jak alkohol uderza mu do głowy. – Ale co ma z tym wspólnego mój ojciec?

Traczyk jakby ponownie ważył, czy ujawnić to, z czym przyszedł. Potem zaczął powoli:

– Pana ojciec nie zginął z powodu awarii czy niedopatrzenia. Przyczyną było niewyobrażalne przeciążenie windy powstałe za sprawą olbrzymiej masy wody niewiadomego pochodzenia. Pewnie Rogacki powiedział to panu.

Już otwierał usta, ale stwierdził, że nie warto pytać, skąd Traczyk wie o rozmowie.

– Sprawdziliśmy szyb, nie ma tam żadnych kranów, ukrytych zbiorników czy czegoś takiego. Krótko mówiąc, cud. Co więcej, badania fizykochemiczne jednoznacznie wykazały, że woda pochodzi z Wisły.

– Chce pan powiedzieć, że ktoś siłą woli przeniósł parę wiader prosto z rzeki do windy i w ten sposób zabił mego ojca.

– To było znacznie więcej niż parę wiader, ale ogólnie zgadza się.

Zbyszek nie czuł strachu ani fascynacji. Jedyne lekką złość, że do śmierci ojca próbuje się dorabiać jakieś teorie.

– Kolejny fenomen to sam Rogacki – ciągnął swoje Traczyk. – On nie miał prawa przeżyć. Dalej, dlaczego pana ojcu zależało, aby nie zostać rozpoznany? Przecież po to udawał kalekę. No i ostatnia sprawa, może kluczowa, Rolniak i pana ojciec znali się, i to dobrze.

Cisza świadczyła, że czeka na jakąś reakcję. Zbyszkowi nic nie przychodziło do głowy. Obliznął nagle spierzchnięte wargi.

– Ojciec nigdy mi o nim nie mówił.

Traczyk opuścił dłoń na aktówkę, lecz na tym geście poprzestał.

– W 1955 roku obydwaj zostali zatrzymani koło wsi Sieszewy na Dolnym Śląsku za sianie niepokoju wśród ludności wiejskiej. W zasadzie wyszło im to na zdrowie, gdyż inaczej chłopci chyba by ich na widłach ponieśli. – Pstryknął w zamek. – Wrzeszczeli, że ci dwaj szukali czegoś w starym forcie, a potem wywołali straszliwą nawałnicę, przez którą zboże zległo. Jedyne faktu, że wieśniacy nie wiedzieli, czy mają do czynienia ze szpiegami czy jakimiś piekielnikami zaprawionymi w diabelskich sztuczkiach, pozwolił milicji nadjechać w porę.

– Co pan plecie? – Zbyszek uniósł głos, lecz Traczyk zbył go ironicznym spojrzeniem.

– Rok później fort stał się częścią poligonu radzieckiego i aż do początku lat dziewięćdziesiątych zniknął z terenu państwa polskiego. Później jednak przyjaciele nas opuszczają i, cóż za zbieg okoliczności, do gminy napływają dwa podania o dzierżawę fortu. Pierwsza od Jana Orszewskiego, a po miesiącu od Rafała Rolniaka. Ciekawe, prawda?

Zbyszek bez słowa zabrał szklankę Traczyka i bez słowa napełnił obydwie samą żytnią.

– Pana ojciec sprawę miał w zasadzie zaklepaną, lecz za Rolniakiem stała bezczelność i duża gotówka. W chwili gdy zdarzył się wypadek, właśnie jechał po ostatnią parafkę w ministerstwie.

– Pan – Zbyszek odstawił szklankę na dywan – pracuje w komórce, prawda?

– Prawda. – Traczyk pochłonął zawartość szklanki jak lemoniadę. – Dlatego udało mi się nie nadawać rozgłosu okolicznościom wypadku, ale prawdę mówiąc, nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

Tym razem otworzył aktówkę, odsłaniając leżącą na wierzchu kopertę.

– To jest list pisany wiele lat temu przez pana ojca do przyjaciela.

Zbyszek, nieoczekiwanie dla samego siebie, zapragnął wyrwać papier z rąk tajniaka.

– Skąd pan go ma?

– Zabrano go pana ojcu podczas przesłuchania w 1955 i wsadzono do archiwum. Trafiłem na niego teraz, węsząc wokół sprawy. Wygląda na to, że pana ojciec, jakby to powiedzieć, miał nadmiernie wybujałą fantazję. Z wiekiem mogła się ona przerodzić w coś gorszego. – Zamknął aktówkę. – W każdym razie list zostawię panu.

Zbyszek nie za bardzo rozumiał pobudki Traczyka, lecz posłusznie położył kopertę na ławę.

– Proszę zadzwonić, gdyby coś się panu skojarzyło.

Obok listu wylądowała podłużna wizytówka. Zbyszek odczytał adres.

– Pan jest z Warszawy – stwierdził. – Że też chciało się panu taki kawał jechać.

Traczyk westchnął zastanawiająco ciężko.

– Czasami trzeba – mruknął i nacisnął klamkę.

Trzasnęły drzwi. Zbyszek chwilę rozmasowywał skronie, a kiedy nie pomogło, ruszył do łazienki, nie będąc pewnym celu swej wędrówki. W połowie drogi jednak przystanął i łapiąc równowagę, oparł ręce na telewizorze. Leżały tam zdjęcia. Przesunął jedno palcem i nachylił się, prawie dotykając odbitki nosem. Nie mylił się. Za plecami znajomych ojca, koło czyjś nagrobka, stał tęgi mężczyzna w dobrze skrojonym płaszczu.

\*\*\*

Teraz, kiedy przesuwiał kopertę między palcami, spiker w radiu oznajmiał dziesiątą rano, lecz Zbyszek nadal miał nieodparte wrażenie, że tkwi w dziwnym śnie. Przez odsłonięte okno chwilę obserwował obłoki ślizgające się po niebie, a później ponownie opuścił wzrok na kartki. Jedynie poźółkłe brzegi świadczyły, kiedy je zapisywano.

*Drogi Marku!*

*Gdy widzieliśmy się ostatnio, obiecałem Ci napisać o Tajemnicy. Teraz, kiedy wydaje się, że jestem o krok od rozwiązania, myślę, że nadeszła właściwa pora.*

*Pierwszą wzmiankę o jaskini znalazłem przypadkowo, studiując historię bractwa millinerskiego, dawno zapomnianej loży z osiemnastego wieku. W opracowaniu wydanym w 1922 roku nakładem drukarni Halska w Dreźnie napotkałem wzmiankę o starej rodzinie niemieckiej, która ma w swej posiadłości niespotykany fenomen. Miejsce, skąd można odczytywać przyszłość. Nie było żadnych szczegółów i pewnie zapomniałbym o całej sprawie, gdyby nie wpadł w moje ręce diariusz Aloisa Benarda, który na początku XIX wieku podróżował po całej Europie, między innymi odwiedzając Saksonię i Dolny Śląsk. Opisuje on gościnność rodziny Platzów, u której bawił dwa miesiące, lecz zarazem skarży się, że nie pokazano mu największej osobliwości – tajemniczej komnaty, gdzie można zobaczyć zdarzenia przyszłe. Platzowie czasem twierdzili, że to jedynie rodzinna legenda, lecz kiedy indziej wspominali, iż komnatę można otwierać co kilkanaście lat. W tym czasie ładuje się, czerpiąc energię z kosmicznego eteru, i pozwala zerknąć ku rzeczom, które nadejdą. Benard podał niemiecką nazwę posiadłości, która, byłem pewien, już kiedyś wpadła mi w ucho. I rzeczywiście. Po kilku nie przespanych nocach, przetrząsnąwszy moje archiwum, znalazłem odpowiedź.*

*Jeszcze w latach czterdziestych, na studiach, mając sporo samozaparcia i mało kogo poruszające pismo od pełnomocnika rządu, jeździłem po okolicach Wrocławia z paroma innymi zapaleńcami, próbując ratować co cenniejsze egzemplarze z bogatych bibliotek ponemieckich. Pisałem Ci o tym, jak często znajdowałem same okładki, gdyż cieniutki papier idealnie pasował na skręty. W każdym razie w bibliotece Greisa – znanego lekarza ze Świdnicy, trafiłem na zbiór sprawozdań sądowych sięgających szesnastego wieku. Istne perełki dla miłośnika pitawali. Dzięki nim zacząłem pisać pracę magisterską poświęconą procesom o czary na Dolnym Śląsku. Wtedy właśnie po raz pierwszy zetknąłem się z nazwą Zauberblick, co można tłumaczyć jako „uroczny wzrok”. Bóg raczy wiedzieć, czemu po wojnie nasze władze przemianowały ją na Sieszewy.*

*Interesująca nas sprawa zrazu wyglądała banalnie. W Zauberblick i kilku okolicznych wioskach osadzonych na prawie niemieckim wybucha zaraza wśród bydła. Pomór kładzie trzy czwarte pogłowia i wieśniacy, dodatkowo rozwścieczeni wysokim czynszem, muszą mieć winnego.*

*Podjęcie pada na czwórkę młodych ludzi z Wrocławia, którzy od kilku tygodni, bez konkretnego celu, przyjeżdżają do jaskiń w lesie. Dla świętego spokoju wójt zarządza areszt. Trzech młodzieńców i dziewczyna zostają osadzeni w loszku i już podczas pierwszego przesłuchania załamują się. Z akt wynika, że wójt, pewnie podjudzony przez ziomków, postraszył ich procesem o czary, a i pewnie pokazał narzędzia, niby katowskie. Ku zaskoczeniu sędziego, pozwani, zamiast przyznać się do rozpusty, zeznają, że znaleźli grocie, w której można mieć dziwne wizje. Jak sami to nazywają: „wizje nigdzie nie istniejących miejsc, urzędów i wehikułów”. Prowadzą sędziów na miejsce, lecz nic nadzwyczajnego się nie dzieje. Nie wiadomo, jak potoczyłaby się dalej historia, gdyby nie interwencja z Wrocławia u właściciela wiosek. Okazało się, że zatrzymani pochodzą z ustosunkowanych rodzin i po obniżeniu czynszu dzieciaki zostały ciupasem odstawione do domu. Wymigali się, popularnym w tym czasie, zastąpieniem na umyśle. Ja jednak wiedziałem coś więcej. Benard wspominał, że jaskini nie wolno odwiedzać zbyt często, gdyż traci*



*moc. Jeśli byłoby to prawdą, nic dziwnego, że po paru odwiedzinach oskarżonych sędziowie nie mogli mieć już tam dalszych wizji. Zachęcony tym, zacząłem grzebać w genealogii rodziny Platzów i co się okazało? Pałacyk koło Zauberblick zbudował około 1790 roku Maksymilian Platz, którego żona z domu nazywała się Glauber. Dokładnie tak samo, jak oskarżona w procesie dziewczyna.*

*Nie chcę się rozpisywać ponad miarę, więc dodam jedynie, że znalazłem kilka innych źródeł wskazujących Platzów jako depozytariuszy rzadkiego fenomenu. Obecnie upewniłem się, że pałacyk został częściowo zniszczony podczas zamieszek wywołanych przez śląskich tkaczy w połowie XIX wieku, ale podziemia pozostały nienaruszone. Potem Platzowie zubożeli i ostatecznie pod koniec ubiegłego wieku teren wykupiło wojsko, wykorzystując dobrze zachowane piwnice jako magazyny. Całość, zwana przez ludność od lat fortem, wciąż stoi koło Sieszew.*

*Sam nie wiem, bujda to czy prawda. Rozsądek przemawia za pierwszym, lecz wokół sprawy jest za dużo logicznie powiązanych faktów, aby ją zbagatelizować. Przyszłość! Aż dreszcz przechodzi, kiedy pomyślę, co można by ujrzeć.*

*Poza tym, kiedy spojrzeć na ruinę, w jakiej jest dzisiaj nasz kraj, chciałoby się, nawet z pomocą czarodziejskiego zwierciadła, ujrzeć Polskę odbudowaną, bogatą i bezpieczną. Jutro wyjeżdżam na Dolny Śląsk. Rychło oczekuj listu.*

*Twój Jan*

Starannie złożył list i wsunął w wyblakłą kopertę. Dlaczego ojciec nigdy mu o tym nie wspomniał. Gdyby nie torebka z proszkiem... Oparł dłoń na poręczach fotela i zacisnął aż do bólu. Nie pozbył się jednak uczucia osamotnienia, które nagle ogarnęło jego serce. Jak nigdy zapragnął rozmowy z kimś bliskim, komu można ufać. Właściwie dlaczego całe jego życie to tylko praca, wykłady, paru znajomych... i nic więcej. Śmieszne, ale poczuł się bezradny wobec tak prostego pytania. Czy i jego życie jest gdzieś zapisane, a w jaskini Pan Bóg zostawił coś na kształt dziurki od klucza? Usłyszał, jak książka spada na podłogę. Przeciąg, pomyślał i ukrył twarz w dłoniach, nie chcąc uronić myśli. Jeśli można widzieć przyszłość, to znaczy, że ona już istnieje! Gotowa i wyznaczona każdemu. Możesz stawać na głowie, lecz i tak pójdziesz przypisaną ci koleiną. Będziesz świętym czy łajdakiem, to bez znaczenia, czynisz jedynie to, co ci jest pisane. Wolna wola to fikcja! Roześmiał się wymuszenie i ruszył domknąć okno. Przecież to tylko zabawa w hipotezy. Nagle zamarł w pół kroku nad rozsypanymi książkami. Okno było zamknięte.

\*\*\*

Gdy kupował gazetę, wpadł mu w oko tytuł u dołu szpalty: „Wielokrotny morderca schwytyany”. Kioskarz, śledząc jego spojrzenie, klepnął dłonią w stos krzykliwych okładek.

– Dawniej okradziono człowieka w tramwaju i gazety o tym pisały, a dzisiaj... – Pomarszczona twarz przybrała wyraz udręki. – Nawet morderca nie wystarcza. Musi być wielokrotny.

Nie podjął tematu, ugodowo kiwając głową, lecz staruszek miał rację. Zło, przemoc, agresja atakowały coraz natarczywiej i bezwstydniej. Co gorsza, zło spowszedniało, po cichutku, krok za krokiem przesączało się z marginesu do codziennego życia. Normalna nienormalność. Bał się tego i nienawidził – jego własny, prywatny strach. Po pogrzebie miał kłopoty z żołądkiem, lecz nie potrafiłby powiedzieć, co było główną przyczyną: śmierć ojca czy towarzyszące jej dziwne okoliczności. Śmierć była tragedią, lecz zarazem stanowiła sprawę zakończoną, zagadkowe wydarzenia wciąż niosły potencjalne zagrożenie. Zwolnił kroku, gdyż właśnie dochodził do mieszkania ojca. Przepuszczając autobus, kątem oka uchwycił znajomą sylwetkę. Obejrzał się ponownie. Brama z przeciwka świeciła pustką, lecz przysięgłby, że widział otyłą postać Traczyka.

Lodowatymi dłońmi wyszperał klucz i wszedł na klatkę. Przez dziurki w skrzynce pocztowej prześwitywała koperta. Kiedy ją wyjmował, coś zagrzecotało w środku. Uniósł wzrok, jakby oczekując, że przez kilka kondygnacji dojrzy mieszkanie ojca. Dookoła toczyła się niewidzialna gra, nieuchwytna, lecz istotna. Był tego pewien. Boże, skąd takie myśli? Oblał go zimny pot, a może to reakcja po zażyciu proszku, taka szczątkowa prekognicja. Zadarł głowę, słysząc kroki na klatce. To będzie, przymknął oczy... kobieta w popielatym płaszczu. Rozwarł powieki, w samą porę, aby dostrzec typowego emeryta donoszącego kurtkę w pepitkę.

– Idiota – mruknął do siebie i zaraz umilkł, gdyż mężczyzna spojrział ze zdziwieniem.

Na piętro dotarł biegiem i przekręciwszy wszystkie zamki, opadł na kanapę. Zaraz poderwał się, podszedł do barku i tyknął wprost z butelki ozdobionej żółtą nalepką. Niewiele pomogło. Naprawdę za

duzo piję, pomyślał, przez to człowiek głupieje. Wyrzwał przez okno. W bramie nikt nie stał. Wrócił na kanapę i rozerwał adresowaną do ojca kopertę. Ze środka wypadła kasetą VHS z niewielką karteczką.

*Nie odebrał pan materiału w terminie, więc pozwalam sobie przesać go pocztą. Pozdrowienia. Janicki*

Tym razem z pudełka w barku wyłowil dwie landrynki. Wepchnął kasetę w magnetowid i opadł na fotel.

*Test 1 – Poziom stresu 12 – kategoria zawodowa*

*Malicki został niesłusznie pozbawiony prawa jazdy. Za trzy dni ma się zgłosić na egzamin sprawdzający.*

Po napisach ukazał się obraz. Zbyszek rozpoznał kierowcę taksówki, chociaż znacznie młodszego niż obecnie. Właśnie wchodził do mieszkania. U licha, skąd to było filmowane? Wiesza płaszcz, teraz jest w łazience, gdzie myje ręce. Robi to nienaturalnie starannie. Słychać kobiecego głos wołający go do stołu. Obraz, jak na podglądzie w supermarkecie, przeskakuje do stołowego.

– Włos! – Malicki wali pięścią w stół, aż zupa chlapie na obrus. – W moim talerzu jest włos! – krzyczy kobiecie prosto w twarz i trzaskając drzwiami, wychodzi.

W ciszy słychać łkanie. Dziewczyna głaszcze kobietę po ramieniu. Scena, filmowana gdzieś spod sufitu, wydobywa kruchość obydwu postaci. Cięcie i widzimy Malickiego, siedzącego na krześle, z twarzą ukrytą w dłoniach. Cięcie. Córka podchodzi do drzwi i zdecydowanie naciska klamkę.

– Tata – mówi cicho. – Nałożyłam ci drugie. Chodź, bo wystygnie.

Widać walkę na twarzy mężczyzny. W końcu wstaje i ciężkim krokiem wraca do stołu.

Obraz zniknął. Po chwili Zbyszek, wpatrzony w śnieżną zamieć zakłóceń, zamrugał i zatrzymał taśmę. W ciszy wsłuchiwał się w szum we własnej głowie wiedząc, że został sam. Nawet ojciec przestał być kimś, kogo znał.

Wolna wola – odwieczny problem filozofów. Jeśli Pan Bóg zaplanował świat i, jako wszechwiedzący, zna każde zdarzenie z przyszłości, czy mogę sądzić, że decyduję o własnym losie? Moralność jedynie wtedy ma sens, gdy człowiek posiada wpływ na własne postęпки, w przeciwnym razie to puste słowo. Psychicznie chorego nie skazuje się nawet za morderstwo, jeśli tylko zostanie dowiedzione, że nie był w stanie oprzeć się szaleństwu, które kierowało jego czynami. Jeśli już kogoś winić za zło świata, to chyba tylko Stwórcę, a nie nas – bezwolne marionetki. Ojciec musiał odkryć jaskinię. Odkrył i uwierzył, że wszystko jest gdzieś zapisane. Inaczej nie zdobyłby się na taką podłość, jak podglądanie obcych ludzi. To wszystko, czego Zbyszek mógł być teraz pewien.

\*\*\*

Poprawił plaster chroniący lekką ranę na łydce. Jak w starym dowcipie zaciął się tam przy goleniu. Przy okazji jednak udowodnił, że zdolności kinetyczne są dziedziczne.

Inaczej trudno wytłumaczyć, dlaczego pod jego spojrzeniem flakon wody kolońskiej podskoczył i wyrznął o wannę. Jednak nie roztrząsał tego zbyt. Po pierwsze – spodziewał się czegoś podobnego, po drugie – zadzwonił telefon.

– Pan Jan Orszewski?

– Nie, Zbigniew, jego syn. Mój ojciec nie żyje.

– A... – w słuchawce zapadła dłuższa pauza – to inna okoliczność. Znaczy... tego... przykra sprawa. Ton głosu i dobór słownictwa nie wskazywały na kogoś ze znajomych ojca.

– Z kim mówię?

– Ja wiem, czy pana to zainteresuje...?

– Ale o co chodzi?

– O co chodzi. – Rozmówca także zaczynał się irytować. – Sprawa jest krótka. W zeszłym miesiącu podprowadziłem pana starszemu walizkę na dworcu. Sam szmeln, ale pomyślałem, że jak człowiek się wzruszy, to rzuci parę groszy za zwrot.

Zbyszek chyba się wzruszył, gdyż siedział teraz na ławce przed Urzędem Wojewódzkim i obserwował przechodniów. Czuł, że jest nienaturalnie rozdrażniony. Pewnie po części dlatego, że odmówił sobie poobiedniego drinka, ale nie tylko. Gnojek chciał czterysta złotych. Dużo i mało zarazem. Dużo, aby dawać tyle złodziejowi, mało – gdyż sama walizka musiała kosztować niewiele mniej. A w ogóle cała

sprawa śmierdziała. Od początku do końca. Najpierw Rogacki przychodzi ze spowiedzią, potem Traczyk zupełnie bez celu przyjeżdża z Warszawy. Właściwie tylko po to, aby mu dać list. Niby przypadkiem zwrócona kasetka, a teraz... Niemożliwe! Ktoś za tym stoi. Pytanie, po co? No i proszek w saszetce. To nie był przypadek. Ktoś chciał obudzić w nim zdolności paranormalne, a może także przy okazji nastawić pozytywnie do rewelacji o jaskini i...

– Masz pan tu próbkę. – Niespodziewanie usłyszał z boku czyjś głos.

Mężczyzna miał rozbiegane oczy i wodnistą twarz, która nie zostaje w pamięci dłużej niż kilka minut. Między nimi leżała na ławce anonimowa reklamówka.

– No, patrz pan! – Typ ponaglił, obserwując gołębie kołujące nad placem. – Pasuje, to teraz dwie paczki, a później mieniamy resztę. Taka była umowa.

Słusznie, tak się umawiali. Zbyszek otworzył worek i wyciągnął książkę przełożoną kartkami. Od razu rozpoznał pismo ojca. Tylko że w umowie nic nie było o gębie typu i jego uśmiechu. Nie wiedział, jak męcząca może być taka zabawa w ciuciubabkę.

– Dostaniesz patyka, ale powiesz, kto cię przysłał – odezwał się cicho.

– Że jak? – Typ sprężył się instynktownie.

– Powiedz, kto cię przysłał – Zbyszek starał się nie unosić głosu – a dostaniesz tysiąc złotych.

Na twarzy mężczyzny zagrało parę uczuć, lecz żadne nie powinno budzić nadziei w Zbyszku. Dłoń nieznajomego ścisnęła poręcz.

– Facet, zwinąłem to gościowi na Głównym. Dajesz szmal albo buzi i do domu.

Tego nie powinien mówić.

– Co?! – ryknął Zbyszek, a nieznajomy podskoczył jak przypieczony w pośladek.

Próbował uciec, lecz złapany za ręce, zaszurał tylko butami po żwirze. Nadchodzący mężczyzna z psem raptownie zmienił kierunek.

– Pytam, kto ci kazał wciskać mi ten kit?

Typ szarpnął głowę, wyraźnie celując w nos Zbyszka, lecz zastygł w bolesnym skręcie. Wystraszone gołębie poderwały się, szukając spokojniejszego miejsca.

– Mów, słyszysz!?

Nie kontrolując swoich reakcji, z wściekłością, ale i pewną satysfakcją obserwował, jak przeciwnik wije się w jego uścisku. Siny na twarzy, gwałtownie trzepocząc językiem, mężczyzna unosił się w górę. Charczał. Dopiero wtedy Zbyszek pojął, iż dokonuje tego bez pomocy rąk, samą siłą woli. Tylko odosobnienie miejsca sprawiło, że ten pokaz lewitacji odbywał się bez tłumy widzów.

– Powiesz?

Mężczyzna rozchylił usta, z których popłynęła strużka śliny. Zbyszek wielkodusznie uznał to za potwierdzenie. Odprężył się i mężczyzna opadł na trawę jak worek ziemniaków. Wkoło życie biegło swoim torem. Jedyne obserwator, malec z rowerkiem, próbował zwrócić uwagę swego zaczytanego ojca. Nic nie wskazywało na to, że może mu się udać. Poruszony wyrzutami sumienia, Zbyszek nachylił się nad podduszoną ofiarą.

– No, mów. Nie bój się. Zapłacę.

Nigdy by nie pomyślał, że właśnie w tej chwili dostanie z byka w brzuch. Niefachowo, ale wystarczyło, aby wylądował w rozłożystym krzewie. Cudownie ożywiony typ uciekał, jakby go tysiąc diabłów goniło.

– Tato, tato! Teraz się ścigają! – Dobiegł zachwycony krzyk dzieciaka.

Drapiąc ręce do krwi, stanął w końcu na równe nogi. Chwytał porzuconą reklamówkę i ruszył w pogoń. Przebiegli przez trawnik i wypadli na alejkę biegnącą wzdłuż jezdni. Ścigany oglądał się za siebie, krzywiąc twarz z przerażenia. Nieliczni przechodnie potulnie schodzili im z drogi. Zbyszek, nie mając żadnej zaprawy, biegł ciężko, lecz mężczyźnie szło jeszcze gorzej. Stawiał kroki nierówno, jakoś dziwnie zarzucając głowę. Widać doskwierały mu jeszcze skutki zapasów ze Zbyszkiem. Stawało się jasne, że nie zdoła uciec. Wtedy do wysepki na środku skrzyżowania podjechał tramwaj. Normalnie wchodziło się na nią z podziemnego przejścia, ale mężczyźnie nie to było w głowie. W fatalnym stylu przetoczył się przez metalową siatkę odgradzającą jezdnię i pognął ku swemu wybawieniu. Gdyby dopadł otwartych drzwi tramwaju, uszedłby Zbyszkiemu, który zaważał się przed przeszkodą. I słusznie. Nadjeżdżające od strony mostu samochody nawet nie miałyby jak hamować. Mężczyzna odtańczył kilka piruetów, lecz nie uszedł przeznaczaniu. Zielone volvo uderzyło go bokiem i posłało, niczym krótką piłkę, w siatkę okalającą wysepkę. Tramwaj zadzwonił, ale nie ruszył. Pewnie chęć obejrzenia igrzysk zwyciężyła. Tłum wylegał, aby obejrzyć nieruchome ciało. Ktoś nadbiegał od strony stojącego autobusu, a kobieta z volvo głośno płakała.

– Ten pan znowu latał. Widziałeś tato?

Głos dzieciaka przywrócił Zbyszkowi zdolność myślenia. Spokojnie wysunął się z grupki gapiów i szedł do podziemnego przejścia. Tam zdjął płaszcz, wepchnął go do reklamówki i innym wyjściem dostał się do pobliskiego parku. Starał się nie oglądać, lecz dopiero na Rynku nabrał przekonania, że nikt za nim nie idzie.

\*\*\*

Do Warszawy przyjechał Odrą, ponoć jednym z najwolniejszych ekspresów w kraju. Cóż, Wrocław nie miał szczęścia z Magistralą Węglową jak Katowice. Na dworcu zdążył jeszcze kupić poranne gazety. Po dłuższej chwili natrafił na wzmiankę o mężczyźnie potrąconym w nieprzepisowym miejscu. Czytając w ostatnim zdaniu, iż z ogólnymi urazami odwieziono poszkodowanego do szpitala, poczuł, jak kamień spada mu z serca.

Tym tropem nie udało się więc pójść, a pod numerem telefonu z wizytówki Rogackiego nadal nikt nie odpowiadał. Został mu tylko Traczyk. Ten człowiek musi wiedzieć, kto pociąga za sznurki. Jednak stanąwszy przed gmachem należącym do ministerstwa, Zbyszek stchórzył i skręcił do baru naprzeciwko. Sięgnął po książkę z reklamówki poszkodowanego. *Wszechświat wielowymiarowy* krzyczały jaskrawe litery. Na następnej stronie widniał ekslibris ojca. Książkę przeczytał w pociągu. Ciekawy, rzetelny wykład z fizyki, z nawiązaniami do filozofii. Nie miał pojęcia, że ojciec interesuje się czymś takim.

Ujął w palce kartkę pełniącą rolę zakładki. Zwykła, prostokątna – miała dwa wymiary: długość i szerokość. Szybkimi ruchami zaczął ją zwiijać w rulonik, coraz węższy, coraz ciasniejszy. Wkrótce otrzymał coś na kształt cienkiego patyczka, prawie jednowymiarowego. Autor książki twierdził, że na samym początku Wszechświata mogło dojść do czegoś podobnego. Sześć z dziesięciu wymiarów zwinęło się do tak mikroskopijnych rozmiarów, że teraz nie poddają się obserwacji. Aby je zbadać, musielibyśmy dysponować energiami niedostępnymi nawet w przewidywalnej przyszłości. Rzecz jasna, hipoteza stoi w jawnej sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem. Zgodnie z nim żyjemy w świecie trójwymiarowym, gdzie długość, szerokość i głębokość wystarczą do opisu każdego obiektu czy sytuacji, jeśli tylko dodać czwarty wymiar: czas. A jednak! Autor w przystępny sposób wyjaśnia, że już nieraz w historii zdrowy rozsądek się mylił. Szczególnie gdy wkracza na obszary niedostępne codziennemu doświadczeniu. Tak zaś jest w świecie atomów bądź – wprost przeciwnie – w kosmologii. Fizycy sumiennie badający te obszary dojrzeli oprócz liczb pewne zależności, symetrie, które pozwalają dostrzec wielowymiarowe podłoże naszej rzeczywistości. Do tego jeszcze wszechświaty równoległe, pętle w czasie, wszystko, co przemawia do wyobraźni.

Schował książkę, zapłacił i wyszedł na ulicę. Mimo padającego deszczu ufnie uniósł twarz ku niebu. Czy zawsze musi być tchórzem? Jedni tworzą przyszłość, a inni powinni szukać w przeszłości. Nie można przed tym uciekać. Spojrzał na ponure gmaszysko i mimo dreszczu niepewności zanurzył się w jego wnętrzu. Wizytówka i telefon z portierni wystarczyły, aby już po chwili znalazł się na właściwym piętrze. Pastelowe kolory ścian i duże donice przy oknach nadawały całości typowo biurowy charakter. Przechodząca korytarzem dziewczyna uśmiechnęła się znad sterty niesionych teczek. Widać skończyły się czasy, kiedy interesant występował w roli ziarenka wciśniętego pomiędzy tryby potężnej maszyny. Zauważył właściwe drzwi, nabrał powietrza i cicho zapukał.

Zaproszenie było równie ciche. Wszedł. Traczyk siedział za biurkiem i uważnie przyglądał się jego postaci. Można było odnieść wrażenie, że porównuje wchodzącego z jakimś wizerunkiem zapisanym w pamięci. W pokoju było czuć nikłą woń pasty do mebli.

– Siadaj – zaczął, uśmiechając się skąpo. – Pozwolisz, że będę ci mówił po imieniu. Tak dobrze cię znam z opowiadań ojca.

Zbyszek ostrożnie opadł na krzesło. Słowa Traczyka pozwalały opuścić wiele pytań.

– To pan wysłał tego typa z książką?

– Tak. – Mężczyzna wyglądał na lekko zakłopotanego. – Tylko że nie miał żądać żadnych pieniędzy. Ale rozmawiałem z nim telefonicznie i nie musisz się już nim przejmować.

To było ważne, ale nie najważniejsze dla Zbyszka.

– A list? Był pisany do pana, prawda?

– Masz rację.

– Więc dlaczego...?

Wiele osób, pragnąc zaznaczyć swoje życzliwe nastawienie, odruchowo nachyla się ku rozmówcy. Traczyk nie należał do wyjątków.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego nie powiedziałem ci prawdy? Dlaczego wcześniej nie słyszałeś o jaskini ani o mnie, chociaż twierdzą, że byłem przyjacielem twego ojca? – Pokiwał głową. – Cierpliwości. W tej sprawie jest wiele tajemnic. Zaraz ci to udowodnię.

Magnetofon miał w biurku, a głośniki na ścianie za sobą. Włączył taśmę w przygotowanym wcześniej miejscu. Najpierw rozległ się odgłos zamykanych drzwi, potem kroki.

– „Słucham, czym mogę służyć?” – Zbyszek rozpoznał głos Traczyka.

Zapadła cisza, jakby przybyły nagle stanął. Słowa, które padły później, udowodniły Zbyszkowi, że można zapomnieć o oddechu.

– „Marek, pomyliliśmy się, obydwa warianty są złe”. – To był głos jego ojca! – „Pod żadnym pozorem nie wolno cofać się w czasie. Rafał rozdzielił się, jak jedno z miejsc. Ten drugi chce to zrobić. Widzę mego syna, tylko wy obaj możecie to odwrócić, ale naprowadzaj go powoli. Użyję też Rogackiego. Żegnaj”.

Czujnie wpatrzony w jakiś punkt na ścianie, Zbyszek łowił dalsze dźwięki. Wśród nich można było odróżnić czyjś ciężki oddech. Potem odezwał się inny głos, młodszy i o parę tonów wyższy.

– „Moje nazwisko Rogacki. Dostałem wezwanie. Domyślam się, że chodzi o wypadek z windą”.

Traczyk zatrzymał taśmę i odchylił się w fotelu. Wyraźnie na coś czekał. Minęła sekunda i pustka w głowie Zbyszka wypełniła się. Pojął znaczenie ostatnich słów. Nagranie wykonano już po wypadku, po śmierci ojca, a więc jak mógł słyszeć jego głos?! Spreparowana taśma. Możliwe, ale po co? Wreszcie wyduślił z siebie:

– Kto to mówił? Tam, na początku.

– Kto? Dobre pytanie. – Traczyk przycisnął do siebie czubki palców obydwu rąk. – Twój ojciec ustami Rogackiego.

– Przecież człowiek to nie magnetofon, aby na niego nagrywać. – Zbyszek koniecznie potrzebował jakieś prostego porównania.

– Zazwyczaj. – Traczyk po raz pierwszy uśmiechnął się bez przymusu. – Także zazwyczaj ludzie nie potrafią przenosić przedmiotów siłą woli. Tylko że Jan Orszewski nie był zwyczajnym człowiekiem.

Wysunął szufladę, która, jak się okazało, pełniła rolę barku. Nalał do kieliszków i rozstawił je na biurku. Sięgając po bliższy, Zbyszek jasno uświadomił sobie, że stacza się w alkoholizm. Jednak ręka była szybsza i uniosła naczynie. Widać coś z tej walki odmalowało mu się na twarzy, gdyż Traczyk zasunął szufladę wraz z butelką.

– Twierdzi pan, że kiedy winda spadała, mój ojciec poprzez hipnozę czy coś takiego...

Umilkł, przypominając sobie rozmowę z Malickim. Ten także słyszał głos ojca.

– Z windą to nie był przypadek. – Traczyk potarł swe ciężkie powieki. – Janek zaplanował to w szczegółach. Poświęcił życie, aby dowiedzieć się więcej o przyszłości.

– Czyjej przyszłości?

– Naszej, ludzi. Ale poczekaj, musimy po kolei.

Zbyszek z trudem nie uległ pokusie postawienia dalszych pytań. Dając szansę przyjacielowi ojca, zaczął:

– Najpierw była jaskinia.

Oczy mężczyzny niespodziewanie wypełniło delikatne światło.

– Tak. Było nas trzech. Twój ojciec, świeżo upieczony adwokat Rolniak i ja. Rafał, zawsze najbardziej zaradny, załatwił gazik i dotarliśmy do fortu za Sieszewami grubo przed południem. Pamiętam. Była wiosna, a grzało jak w lecie. Janek opowiadał o cudach, które może kryć jaskinia. Nawet Rafał wyglądał na poruszonego. – Nikły cień kogoś z przeszłości zagościł w rysach twarzy mężczyzny. – Myślę, że twój tata nie bardzo wiedział, po co nas bierze ze sobą. Pewnie kierował się intuicją.

Od wypolerowanych mebli płynął cierpki zapach przyprawiający o lekki zawrót głowy.

– W tych latach termin „zjawiska paranormalne” jeszcze nie istniał, lecz każdy z nas miał jakiś dar. Twój ojciec potrafił przesuwać przedmioty, Rafał miał czasem zadziwiająco trafną intuicję, a ja – poprawił się w fotelu – wyczuwam emocje, różne fluidy, potrafię określić ich źródło.

– Empatia. – Zbyszek chrząknął i odstawił pusty kieliszek. – Tak to się nazywa.

– Może. Najważniejsze, że dzięki temu odkryliśmy właściwe miejsce. Podziemia fortu to olbrzymi labirynt, pełen naturalnych grot, wykutych korytarzy i sal. Nie ma szans, by ktoś znalazł jaskinię przypadkowo. Na szczęście czułem jej emanację. – Machnął ręką. – Ale zostawmy te szczegóły.

Wypił alkohol i otarł usta wierzchem dłoni. Gdzieś za ścianą zadzwonił telefon, zza okna odpowiedział mu przejeżdżający tramwaj.

– Czy ujrzeliście przyszłość?

– Tak i nie. – Palce Traczyka zabębniły krótko po stole. – Wyobraź sobie, że istotnie widzisz sceny z przyszłości, lecz są one całkowicie oderwane. Ulica z migającymi samochodami, czyjś pusty pokój, fragment krajobrazu. Trzeba wielkiego łutu szczęścia, aby dojrzeć coś interesującego, a przynajmniej coś, co można potem sprawdzić.

– Było coś takiego?

Śmiech zabrzmiał jak zgrzyt po szkle.

– Rafał, drań zawsze miał szczęście. Nawiedził go obraz odrapanego podwórka z gazetami w śmietniku. Na pierwszej stronie było zdjęcie monstrualnego tłumu przed Pałacem Kultury i Nauki. No i nazwisko mówcy.

– Gomółka. – Zbyszek tylko poruszył wargami.

– Rok później mogliśmy to oglądać na własne oczy.

– I dlatego uwierzyliście?

– Nie tylko. – Traczyk zerknął bystrzej. – Trudno to opowiedzieć, ale mieliśmy pewność, że obcujemy z czymś niepojętym. Najpierw widzisz wielką, zawieszoną w powietrzu bramę zbudowaną z błękitnego światła, a kiedy ją przekraczasz, słyszysz muzykę.

– Jaką muzykę?

– W każdym razie coś podobnego. – Szukał słów. – Coś, co trafia do głowy i wywiera wpływ na całe twoje życie.

Zbyszek zawiesił wzrok na wargach mężczyzny.

– Widzisz, myśmy wtedy w zasadzie uwierzyli, że nasz świat jest zafiksowany i możemy jedynie odgrywać wyznaczone role. Różnie to na nas podziało. Rafał, jako praktyk, zaczął kalkulować, co można z tego mieć. Jakoś nie zauważył, że przy pełnym determinizmie równie dobrze mógłby się położyć. Ja... Po wizycie w jaskini nie potrafiłem żyć na własny rachunek. Musiałem na czymś się oprzeć i dlatego po studiach zacząłem pracować w MSW. To olbrzymia machina, gdzie wszystko zdawało się mieć swoje miejsce. Za cenę bezpieczeństwa i wewnętrznego spokoju rozpląnałem się w niej. Ale to minęło...

– A tata?

– Znasz go. Nie mógł się pogodzić z determinizmem. Szukał innych interpretacji. Czegoś na wzór cieni Platona: przyszłości wielowariantowej, nie ukształtowanej, zanim nasze uczynki nadadzą jej ostateczny kształt. Patrząc w przyszłość, raz można dojrzeć ten wariant, innym razem odmienny.

W jego mimice Zbyszek odnalazł podobieństwo do ojca. Może dlatego zaczął mu ufać, choć zdrowy rozsądek pukał się w czoło.

– Dlaczego nie poszliście jeszcze raz? Zanim Rosjanie przejęli fort. Mielibyście więcej faktów. Wystarczyłoby poczekać i zobaczyć, czy wszystkie się sprawdzają.

– Czytałeś. Jaskinia, otwierając się na przyszłość, traci energię. Nasza jedna jedyna wizyta wyczerpała ją do cna. Sprawdziliśmy to tydzień później. Nie wiem dlaczego. Może płaciliśmy za wzmocnienie naszych zdolności.

– A później? Ile czasu jej potrzeba, aby się naładować?

– Najpierw nie wiedzieliśmy. Fakt. Obawialiśmy się, że wpadnie w niepowołane ręce. Ale dziesięć lat temu Janek dowiedział się, kiedy wróci aktywność. – Wskazał wiszący na ścianie kalendarz. – I dlatego mamy problem. To będzie dokładnie pojutrze o dziesiątej rano.

Ktoś energicznie zapukał, a potem nacisnął klamkę. Zbyszek nawet się nie obejrzał.

– Dzwoni twoja żona, podobno wyłączyłeś aparat.

– A, tak. Mam ważną rozmowę. – Traczyk wy dostał się z za biurka. – Poczekaj, Zbyszek, zaraz wracam.

Został w pokoju sam. Spłowiły dywan, parę kryształowych wazonów w regale, wielki segregator pod ścianą. Ciekawe, czy Traczyk w ogóle używa komputera. Może ma do tego jakichś ludzi.

Podszedł do okna, gdzie pod pajęczyną tramwajowych drutów biegła ulica. A jeśli on kłamie... Jeśli ordynarnie wciska mu kit? Malicki mógł być podstawiony, głos z taśmy, Bóg wie kiedy nagrany czy po prostu spreparowany. Zrobiło mu się gorąco. Nieobecny wzrokiem spoglądał na mężczyznę opuszczającego bar naprzeciwno. Ale przecież teraz umiem przesuwac przedmioty. Tego nie można spreparować! Nieoczekiwanie zapragnął unieść kapelusz nieznajomego w górę. W zasadzie zadziało. Z tym że nakrycie głowy wbiło się mężczyźnie na uszy z taką siłą, że aż usiadł na chodniku. Szamotał się chwilę z ożywionym przedmiotem, aż w końcu cisnął go na jezdnię. Trzeba poćwiczyć, pomyślał Zbyszek, obserwując z zażenowaniem szybko oddalającą się sylwetkę. Kapelusz turlał się przy krawężniku. Pojutrze, skojarzył, siadając na krześle, i znów zrobiło mu się nieznośnie gorąco.

– Przepraszam cię. – Traczyk zamknął drzwi za sobą. – Moja żona ma kłopoty ze zdrowiem. Po robocie muszę zajrzeć do apteki.

Wrócił na miejsce.

– Mówiliśmy o terminie, ale najpierw pojawiły się sny. Kilka lat po wizycie w jaskini. Sny Janka nawiązywały, a właściwie przywoływały z pamięci zapomniane wizje, które tam widział, ale zapomniał. Niepokojące, dotyczące czegoś niezmiernie ważnego. Janek wariował, ale nie potrafił ich odtworzyć. Szukał pomocy w farmakologii, a nawet w magii. Z całego świata ściągał różne świństwa: substancje halucynogenne i stymulujące, wyciągi z kaktusów, meduz czy Bóg wie czego jeszcze. Pamięci mu to nie przywróciło, choć zdaje się trafił na środek wzmacniający umiejętność telekinezy. Pod warunkiem, rzecz jasna, że się ją miało od urodzenia.

„Saszetka”, pomyślał Zbyszek, obserwując, jak Traczyk uchyla i zaraz zatrząskuje szufladę z butelką. „Obudził mnie i popchnął swoim śladem”, przemknęło mu jeszcze przez głowę, lecz Traczyk już kontynuował.

– Dlatego tak mu zależało, aby przejrzeć intencje Stwórcy, choćby ogólny zarys jego zamierzeń. A któż, jak nie ludzie, stworzeni na obraz i podobieństwo boże, mogli dać mu lepszą odpowiedź. Dlatego tak go gnębiło, czy z natury jesteśmy dobrzy czy źli? – Westchnął. – Janek pasjonował się zjawiskiem przestępczości, wiesz o tym?

Kolejny tramwaj zadzwonił za oknami o grubych szybach.

– Oczywiście, to była tematyka naukowa taty jeszcze przy doktoracie.

Traczyk poczekał, aż ucichną odgłosy płynące z ulicy pełnej ludzi nieświadomych toczącej się tu rozmowy.

– Zbrodnie, przestępcy, kto, jak, dlaczego. Ale także przykłady heroizmu, poświęceń, dobrych uczynków. Tysiące faktów, opracowania tak szczegółowe, że aż niepokojące. Od początku widać było, że nie jest to zwykła pasja badacza. Prędzej opętanie, szaleństwo – jakby chciał zajrzeć ludziom pod podszewkę.

Zbyszek uniósł kieliszek w palcach, nie unosząc wzroku znad krawędzi. Słowa matki, dobrej i cierpliwiej: *ja już dłużej nie zniosę, ty jesteś chory*. I twarz ojca, nagle skamieniała, jakby wreszcie usłyszał prawdę o sobie. Nigdy nie miał zapomnieć widoku ich dwojga, siedzących w półmroku, próbujących po raz ostatni naprawić życie, które rwało się im w palcach. Cofnął się wtedy cicho na korytarz i poszedł do pokoju prosić Boga o pomoc. Nigdy nie wiedział, czy został wysłuchany. Rodzice nie rozwiedli się, lecz po miesiącu ojciec wynajął w mieście pokój. I tak zostało już do końca.

– Myślę – odparł cicho – że wiem, co ma pan na myśli.

Rysy Traczyka ukazały mu się dziwnie rozmyte, nabrał powietrza w płuca.

– To wtedy podglądaliście tego taksówkarza? Sądząc po minie, Traczyk musiał czuć się plugawie.

Przerwał mu, lecz po chwili podjął wątek.

– Tylko raz, po obejrzeniu taśmy... Zlikwidowaliśmy podgląd i nigdy więcej nie testowaliśmy ludzi. Taśmę trzymaliśmy... ku przestrodze. Janek nie chciał, abysj je, jak i parę innych rzeczy, znalazł w jego mieszkaniu. Podesłałem ci ją, ale teraz myślę...

– Już ją zniszczyłem – przerwał Zbyszek zdecydowanym tonem, kończąc temat.

– Dobrze, tak będzie najlepiej. – Traczyk przymknął powieki. – A potem był wypadek. Słyszałeś. Poszły hamulce w autobusie, którym twój ojciec wracał z konferencji. Droga zaś spadała serpentyną w dół.

– Pamiętam, kierowcy udało się przejechać kilka zakrętów, zanim wylądowali w rowie, już na dole. – Uniósł wzrok. – Ale to nie wszystko, prawda?

Traczyk pokręcił głową. Chustką otarł suche czoło.

– Janek był, no po prostu, jedną nogą w trumnie. Ale właśnie wtedy przypomniał sobie część wizji. Tych cholernych obrazów, które go nachodziły w snach. Wynikało z nich jasno, że pojutrze nasz świat przestanie istnieć. Cholera, nie mogę.

Uchylił szufladę i nalał sobie. Nieco alkoholu zachlapało biurko.

– Nie rozumiem. – Zbyszek poczuł, jak bardzo zdrętwiały ma wargi. – Wojna jądrowa? Katastrofa kosmiczna?

– Nic z tych rzeczy. – Traczyk pokręcił głową. – Po prostu nasza rzeczywistość nie ma dalszego ciągu, koniec. Janek mówił, że wyglądało to tak, jakby ktoś nożycami odciął resztę taśmy filmowej. Nie wiedział dlaczego, ale źródłem katastrofy będzie jaskinia i wiąże się z tym Rafał.

– On miał to zrobić?

– Właśnie nie wiadomo. Janek tłumaczył, że podczas tej szaleńczej jazdy autobusem kurtyna odsłoniła się tylko, ale nie uniosła.

– Próbowaliście z nim gadać?

– Z Rafałem, tak. Śmiał się idiota i zapowiedział, że jak tylko wydzierżawi fort, nasza noga tam nie postanie. Kiedy mu opisywaliśmy zapowiedź katastrofy, nawet nie pozwolił dokończyć. Skomentował, że to skleroza i urojenia. W ogóle zachowywał się tak, jakbyśmy niczego wspólnego nie przeżyli. Dobrze się czujesz?

Zbyszkowi od dłuższej chwili dzwoniło w uszach. I chociaż przytaknął, z ulgą spostrzegł, że mężczyzna otwiera okno. Odetchnął głębiej.

– Tata postanowił powtórzyć sytuację z autobusu, prawda? Tylko tak, jak czasami lubił, bardziej widowiskowo...

Postać przyjaciela ojca zastygła na tle szarej panoramy miasta.

– Tak, widowiskowo, lecz tym razem nie dał sobie żadnej szansy. On bardzo cię kochał i dlatego nigdy nie pozwolił, abyś dowiedział się o jaskini. Widzisz...

Kiedy się odwrócił, w oczach Traczyka błysnęły łzy.

– Poza snami Janek przez całe życie miał przeblyski, jakby z innych równoległych rzeczywistości. Rozpoznawał twarze ludzi, których nie spotkał. Znał szczegóły ich życia, fakty, których nie miał prawa znać. Co więcej, czasami wiedział, jakie konsekwencje przyniosą pewne decyzje, pewne wybory. Czy to znaczy, że nasz świat otoczony jest rojem replik o alternatywnej historii? Nie wiem. W fantastyce ponoć ludzie od dawna o tym piszą. Nawet jakiś facet stworzył teorię naukową.

– Everett. – Zbyszek przełknął ślinę. – Wszechświat ewoluując nieustannie, rozwidła się w momentach, kiedy dokonany zostaje wybór. Słyszałem o tym jeszcze od taty, kiedy rozmawialiśmy o opowiadaniach Borgesa.

– Widzisz, najsilniejszy z przeblysków dotyczył ciebie.

Tata wiedział, że kiedyś, trudno powiedzieć w przeszłości czy przyszłości, w innej rzeczywistości, wyjawiał ci tajemnicę, a ty zniknąłeś. – Wzdrygnął się, jakby od okna powiało chłodem. – Janek nie znał szczegółów, ale był pewien, że mówiąc cokolwiek, unicestwiłby ciebie. Ale pisał dla ciebie pamiętnik. Wbrew zdrowemu rozsądkowi. Myślę, że nawet nie tyle na wszelki wypadek, ile w zastępstwie – jako substytut rozmowy. Teraz dostaniesz go z całą resztą. – Westchnął. – Szkoda, że tak późno.

Podszedł do regału i otworzył dolne drzwiczki. W głębi stała skórzana waliza z okuciami. To już było ponad siły Zbyszka.

– Muszę wyjść na moment – powiedział cicho.

– Oczywiście. – Traczyk uniósł się. – Toaleta jest naprzeciwko.

Prawie zgięty wyszedł na korytarz. Na szczęście po drugiej stronie nikogo nie było. Stał przy umywalce, odkręcił kran i oparł czoło o szybę. A potem mocno, z całego przepelnionego bólem serca, rozplakał się. Po kilku minutach poczuł się lepiej. Trochę. Ale to wystarczyło, aby wrócić i dokończyć rozmowę. Siadając z powrotem na krześle, spytał:

– A te warianty? O czym tata mówił poprzez Rogackiego?

Traczyk w tym czasie postawił bagaż koło biurka, a teraz ze współczuciem przyglądał się twarzy Zbyszka. Zaczął wolno:

– Janek umiał teleportować przedmioty, a nawet ludzi. Ale nie samego siebie. Dlatego zrywając windę, wiedział, że żywy z tego nie wyjdzie. Wiedzieliśmy o terminie podpisania umowy. Wiedzieliśmy, że Rafał chodzi zawsze z Rogackim. Jego chciał ojciec uratować i wykorzystać do przeniesienia wiadomości.

– A Rolniak?

– Gdyby był niewinny, miał być także teleportowany...

Traczyk przerwał. Miał wzrok człowieka śmiertelnie zmęczonego odpowiedzialnością, która na nim spoczywa. W końcu podjął:

– Długo się wahaliśmy, ale na jednej szali był nasz świat, a na drugiej życie człowieka, który pragnie go zgubić. Teraz – rozłożył ręce – niczego już nie jestem pewien. Janek zobaczył coś ważnego, lecz innego, niż się spodziewaliśmy.

Miał sekundy na przekazanie tego, improwizował. Mógł nie zdążyć uratować tego Rolniaka z windy.

– Zaraz. – Zbyszek zaczął wolno krążyć po pokoju. – Myśleliście, że albo Rolniak planuje coś niecnego i jego śmierć uratuje nas, gdyż ten wariant przyszłości zniknie, albo że jest niewinny. Wtedy tata dowie się wystarczająco dużo i da znać przez Rogackiego. A tu... jak to było? Rolniak rozdzielił się i tylko my możemy zapobiec nieszczęściu. Tylko jak?



Teczka, którą podał mu Traczyk, miała na okładce wyrysowane długopisem różne figury. Niektórym pomaga to myśleć.

– W środku jest protokół z oględzin zwłok Rafała. Na moją prośbę wykonano zdjęcia lewego podudzia. Widzisz – zamknął okno – Rafała znałem jeszcze z dzieciństwa. Dobrze pamiętam, jak zleciał z trzepaka i złamał nogę. Zrosła się, ale ślad byłby widoczny.

Zbyszek przestał rozwiązywać teczkę.

– Na zdjęciach nie ma nic. Wyglądają, jakby należały do kogoś innego.

– Sądzi pan, że ten z windy...

Traczyk przesłaniał prostokąt okna, lecz i przy słabym świetle widać było lęk na jego twarzy.

– Cholernie się boję, że twój ojciec chciał nam powiedzieć, iż Rafał przewidział zdarzenie w windzie i podstawił kogoś na swoje miejsce. A pojutrze będzie chciał cofnąć się w czasie, pewnie licząc, że przywróci sobie młodość z całym dzisiejszym doświadczeniem.

– Przecież to niemożliwe!

– A jaskinia? Czy ona jest możliwa?

Odpowiedź była zbyt dobra, żeby ją zripostować.

\*\*\*

Traczyk chciał go zaprosić na obiad do domu, lecz Zbyszek podziękował. Złapał popołudniowy ekspres i dotarł do Wrocławia o przyzwoitej porze. Poza tym czuł się trochę jak ślepy, który przejrzał. Musiał teraz powiązać chłód śniegu z jego bielą, a zieleń trawy z dotykiem pod stopami. Dlatego jadł w ministerialnej stołówce, niewiele się odzywając.

– Jak myślisz? – zapytał w końcu, nawet nie zauważając, że gdzieś po drodze przeszli na „ty”. – Po co Stwórca jaskinia?

Traczyk przestał przesuwac krysztalki cukru po stole. Krytycznie obejrzał figurę ułożoną na blacie.

– Czemu lód pływa po wodzie? Czemu nie można przekroczyć prędkości światła? Nie wiadomo. Taki jest nasz świat. – Dmuchał, rozsypując heksagram. – Fenomen jaskini polega na tym, że jest niepowtarzalna. A więc właściwe pytanie brzmi: czemu Bóg dopuścił się odstępstwa w regułach gry?

– Znasz odpowiedź?

– Długie wieczory zastanawialiśmy się nad tym. Myślę, że jest to rodzaj próby. Sprawdzenia tego, czy już dorobił się? Kiedyś rozszczepiliśmy atom. Udało się, chociaż oprócz elektrowni mamy bomby. Może jaskinia stanowi preludium do ingerencji w naturę czasu i przestrzeni. Nic wiem, może Janek lepiej by to wytłumaczył.

– A jeśli nie zdamy egzaminu? Jeśli użyjemy jej do czegoś niegodziwego?

– O to najlepiej spytać Rafała. – Traczyk położył dłoń na blacie. – To co, idziemy?

Zbyszek nie zareagował, machinalnie przesuwając widelec.

– Sądzisz, że Rolniak chce wrócić w przeszłość...

Traczyk wzruszył ramionami.

– Czytałeś książkę o świecie wielowymiarowym. Wygląda na to, że współczesna nauka zaczyna dopuszczać możliwość przeprowadzenia podróży w czasie, ale pod warunkiem zużycia niewyobrazalnej wprost energii. To się zgadza z ostrzeżeniem, które przekazał nam Rogacki.

Widelec Zbyszka wykonał szybki ruch.

– Oglądałeś film *Powrót do przyszłości*? – Traczyk pokręcił głową. – Facet cofa się w czasie i zabiera ze sobą almanach sportowy, gdzie są wyniki spotkań z ostatnich lat. Potem gra w zakładach, obstawiając stuprocentowe pewniaki, i dorabia się majątku. Logiczne, prawda?

– Logiczne – przyznał Traczyk. – A ty co byś zabrał?

– O, istnieje wiele rzeczy. Na przykład kursy giełdowe, opisy nowych technologii czy zestawienie ostatnio odkrytych złóż mineralnych. Zresztą... pamiętasz reformę Balcerowicza. Gdybyś znał zawczasu wahania kursu dolara, dzisiaj byłbyś obrzydliwie bogaty. Nie wiesz może, czy Rolniak nie interesował się czymś takim? Nie zbierał danych?

Przyjaciel ojca uśmiechnął się kącikami ust.

– Ty chyba ciągle sądzisz, że ja nadal kieruję jakąś wielką komórką. Niestety, teraz jestem tylko zwykłym biurokratą. – Uprzedził pytanie Zbyszka. – No, ale jeszcze trochę mogę. Dlatego podłączyłem się do śledztwa w sprawie wypadku. Nie słyszałem jednak, aby zbierał takie informacje.

– A byłeś w sklepie z kompaktami? – Zbyszek spytał nieoczekiwanie dla samego siebie. – W Alejach Jerozolimskich macie największy salon CD-ROM-ów w Polsce.

Twarz Traczyka znieruchomiła, za to oddech wyraźnie przyspieszył. Nie pomyślał o tym. Zanim Zbyszek zdążył rozejrzeć się za jakimiś kroplami, z kłopotu wybawiła go tęga kobieta. Na oko szacując, miała na tacy potrójną porcję.

– Coś pan źle dzisiaj wygląda, panie Mareczku? – zaszcebiotała, zmuszając mężczyznę do mobilizacji. Nie siląc się na kurtuazję, wstali i wyszli ze stołówki. Po minięciu paru drzwi okazało się, że trafili na parking.

– Wsiadaj, sprawdzimy to od razu. Potem odstawię cię na dworzec.

Walizkę ojca schował do bagażnika i posłusznie zajął miejsce koło kierowcy.

– Cholera – zaczął Traczyk po dłuższej przerwie. – Jestem stary ramol. Nie skojarzyłem, że dysk laserowy to dla Rafała idealny środek do zapisu informacji.

Przed oczami Zbyszka stanął banalny gabinet Traczyka, nawet bez śladu elektroniki, wstrzymał się jednak od komentarza. Zrządzeniem Opatrzności było, że uniknęli w centrum korków i, co już graniczyło z cudem, znaleźli miejsce do parkowania.

– Dzień dobry. – Traczyk sprawnie otworzył legitymację przed sprzedawcą. – Chcieliśmy zasięgnąć informacji.

Dobra passa trwała nadal. Zakupy sprzętu objętego gwarancją były wprowadzane do komputera, ale na tym się kończyło.

– Niestety, Rafał Rolniak niczego u nas nie kupował. – Sprzedawca nawet wyglądał na oburzonego takim stanem rzeczy. – No, chyba że jakieś pojedyncze krążki.

Rzędy półek wyłożonych różnobarwnymi kompaktami wyglądały jak osobliwe dzieło sztuki. Obok, niczym współczesne totemy, ustawiono stanowiska odsłuchu, obwieszane wielkimi słuchawkami.

– A Biernat, Roman Biernat? Może jego pan znajdzie?

Traczyk dojrzał wzrok Zbyszka i uśmiechnął się nerwowo.

– Namierzyłem parę transakcji Rafała sprzed wypadku. Gromadził gotówkę i lokował na lewym koncie, właśnie jako Biernat.

Sprzedawca chrząknął dyskretnie.

– Miesiąc temu nabył przenośny odtwarzacz CD-ROM-ów, bardzo przyzwoity – dodał zadowolony.

– Czy coś jeszcze? – Traczyk wpisywał dane do notatnika.

– Nie, żadnego krążka, nic więcej.

Podczas gdy Traczyk zapewniał sprzedawcę, że sprawa nie przysporzy sklepowi złej reklamy, Zbyszek podziwiał dobrze wyposażone działy historii, techniki i innych nauk. Multimedia wtargnęły przebojem na rynek i miały się wyśmienicie. Chociażby interaktywna książka kucharska z prezentacjami najlepszych kucharzy. Jeśli w czasie gotowania zastanowi cię, skąd pochodzi pomidor, nie ma sprawy. Wystarczy kliknąć.

– Zdenerwowany? – Traczyk odezwał się zza jego pleców.

Zbyszek pokręcił głową i ruszyli do wyjścia.

– Tak się zastanawiam, czemu Rolniak nie kupił czegoś więcej. Chociażby encyklopedii XX wieku. Miesiąc temu była już w sprzedaży.

– Och, nie wiem. Dyski mógł kupić gdzie indziej. – Stanęli przy samochodzie. – Bardziej mnie martwi, czy powinienem cię narażać.

Zbyszek zmarszczył czoło.

– Przecież nie zniknąłem. Tata, doznając wizji w windzie, tym razem dojrzał mnie w przyszłości. Już mogę się dowiedzieć...

– A może Rogacki coś pokręcił... To szaleństwo. – Traczyk uderzył dłonią o blachę dachu. – Idziemy sami przeciw Rafałowi. Uwierz mi, on potrafi być niebezpieczny.

Pewne rzeczy trudno jest przekazać za pomocą kilku zdań, ale spróbował. Lekko drżącym głosem powiedział:

– Poszedłem śladem zostawionym przez tatę, spotkałem ciebie. Myślę, że dalej powinniśmy się tego trzymać. Musimy. Szkoda stracić to wszystko, co zdobył z takim poświęceniem.

Wsiadli do samochodu i pojechali na dworzec. Nie mieli wyboru. Pociąg odchodził za dziesięć minut.

\*\*\*

Zbyszek siedział na krześle i z zadowoloną miną patrzył na telewizyjny ekran. Tak jak większość klientów dworcowej kawiarni, nie zauważał tych banalnych scen, które działy się wokół niego. Równie dobrze mógłby się gapić na podskakujące, kolorowe kulki. Grunt, że grała muzyka. Zmarszczył czoło i

wypił kolejną lampkę koniaku, jakby rozwiązując właśnie zaistniały problem. Trzy inne kieliszki stały na blacie w karnym szeregu.

Właściwie po wyjściu z pociągu wszedł tu tylko po to, aby się napić czegoś chłodnego. Zachichotał, dotykając kolejnego kieliszka czubkiem palca. Koniak istotnie został wyjęty z lodówki.

– Hej, szefowo! – zawołał barczysty typ ze stolika pod ścianą. – Jeszcze raz po piwku.

Zbyszek spojrział na nich krzywo. Banalne dworcowe towarzystwo, hałaśliwe i kopzące papierosy, o zamglonych piwem oczkach. Aż dziwi, że dla dopełnienia obrazu knajpy nie było tam jeszcze żebraka.

– Zaraz. – Barmanka majstrowała coś przy odbiorniku. – Muszę zobaczyć, czy nie trafiłam miliard.

Typ skomentował to obscenicznie i cały stolik zarechotał. W drzwiach zatrzymało się niepewnie starsze małżeństwo, ale w końcu zrezygnowali z wejścia. Alkohol szumiący w głowie Zbyszka prowokował do działania. Niejasno skojarzył coś sobie o misji dziejowej, jaka mu przypadła.

– Oto numery, które padły w dzisiejszym losowaniu – dobiegło z głośnika.

Zbyszek poprawił się na krześle.

– Trzy – powiedział głośno.

– Trzy – dobiegło z telewizora.

– Dwadzieścia sześć.

– Dwadzieścia sześć – powtórzył posłusznie lektor.

Już przy trzeciej liczbie w kawiarni zapadła cisza. Zbyszek, zachęcony tym jeszcze bardziej, bez zająknięcia wyrecytował cały zestaw liczb. Później potoczył wzrokiem po sali.

– Gratulujemy posiadaczom prawidłowo wypełnionych kuponów – dokończył lektor i zapowiedział blok reklam.

Szurnęło krzesło. Barmanka, dotąd patrząca z osłupieniem na Zbyszka, aż podskoczyła. Barczysty wyglądał na takiego, co chce dać komuś w mordę.

– Zgrywus – warknął, odsłaniając zęby. – Za Cyganekę robisz?

Zza jego pleców wilczo zaświeciły ślepie kolesiów. Z boku ktoś kaszlnął.

– Proszę się nie denerwować. – Starszy mężczyzna starał się uśmiechać. – Ten pan żartował, przecież losowanie było po południu.

Umilkł, widząc spojrzenie typa chwiejącego się pośrodku sali.

– Pij dziadek te ziółka i się nie wtrącaj – wycedził napastnik i ponownie zwrócił się do Zbyszka: – Jaja sobie z nas robisz, co?!

Zbyszek postanowił wyszarpnąć dywan spod niego albo nie... Lepiej unieść gościa i rzucić pod ścianę, jak szmatę. Uśmiechnął się szeroko, tak jak tylko po wódce jest to możliwe. Barczysty odebrał to jako policzek i lekko chwiejąc się, ruszył ku niemu. Zbyszek z wysiłkiem zogniskował wzrok na mężczyźnie. Próbował przywołać swoje umiejętności, lecz bez efektu. Jedynie w skroniach zaczęło mu nieprzyjemnie pulsować. Jeszcze jeden wysiłek, właściwie tylko po to, aby zrozumieć, że nie wie, jak się do tego zabrać.

– Wstawaj! – Mężczyzna stanął dwa kroki od niego. Widać nie zamierzał bić siedzącego, albo po prostu nie chciało mu się schylać. Zbyszek poczuł strach. Szybki jak skurcz żołądka wypląnął na powierzchnię otępiełej świadomości i zatopił szpony w sercu. Opity piwkiem, ciężki, zwalisty typ był nie do ruszenia. Za mało ćwiczeń, pomyślał Zbyszek, w absurdalnym skojarzeniu przypominając sobie twarz wychowawcy z liceum. Alkohol jest perfidny, tak im chyba powiedział kiedyś na lekcji.

– No, wstawaj!

Gdyby nie to piwko, zaklekotało mu w głowie, pewnie bym go rzucił o ścianę. Chciał wstać, przeprosić i pójść sobie, lecz złe spojrzenie napastnika wykluczało takie rozwiązanie. Bolał go brzuch. Wszystko go bolało. Bolało i wirowało. Koniak. Piwo w każdunie tego typu. Gdyby go nie było, powtórzył z pijackim uporem, poradziłby sobie.

Strach, wielki i pęczniejący, a potem krzyk. Nikt jednak go nie bił, tylko lampy tak mocno raziły w oczy... Potem usłyszał śmiech, nerwowy. Zawtórowały mu inne. To pozwoliło opanować zmysły i ponownie spojrzeć na salę.

Barczysty stał w tym samym miejscu i z niedowierzaniem wpatrywał się we własne spodnie. Okolice rozporka szpeciła wielka, mokra plama biegnąca w dół nogawki, aż do buta, wokół którego rosła kałuża. Ciężki zapach przetrawionego piwa nie pozostawiał wątpliwości.

– Rysiu – dobiegło od stolika przy ścianie. – Ty się zlałeś.

Śmiali się wszyscy, nawet starszy pan, który pił herbatę. Barczysty sprężył się, lecz czując śmieszność każdej reakcji, zaklął tylko i wybiegł na korytarz. Może do toalety, by wysuszyć spodnie. Zbyszek nie miał pojęcia, jak tego dokonał. Telekineza, sugestia? Nie wiedział, ale szczerze mówiąc, było mu wszystko jedno.

W kawiarni jeszcze komentowano wydarzenie, kiedy chyłkiem wyslizgnął się do dworcowego holu. Marzył tylko o tym, aby złapać taksówkę i pojechać do domu.

– No! – Usłyszał za sobą przytłumiony głos barmanki. – Kto to posprząta?

\*\*\*

Telefon dzwonił bardzo długo. Zbyszek zdążył otworzyć drzwi, odłożyć torbę z zakupami i odstąpić kotary, zanim podniósł słuchawkę. Dzwonił Traczyk. Jego żonę odwieziono z rana do szpitala. Wracła zdenerwowana po mammografii – podstawowym badaniu przy podejrzeniu o raka piersi i upadła na schodach. Mocno się potłukła. Traczyk jechał do szpitala i nie mógł przyjechać wieczornym pociągiem. Upřednio umawiali się, że zanocuje w kawalerce ojca. Teraz zdecydował się na nocną jazdę samochodem. Około szóstej powinien być we Wrocławiu. Zabierze wtedy Zbyszka i pojedą do Sieszew. Wie, że samochody się psują, ale tym razem on zawierzy wizji Janka. Poza tym, zaśmiał się krótko, gdyby coś się przytrafiło jego żonie, to też byłby dla niego koniec świata. Osobisty. Zbyszek obiecał, że od południa będzie w kawalerce czekał na telefon.

Pojechał do siebie po walizkę ojca. Przy okazji zjadł w mieście obiad. Bez wódki. Potem siedział i czytał pamiętnik. Kilka razy płakał. Potrzebował tego widząc, jak wiele utracili, żyjąc przez te lata właściwie obok siebie.

I nie myślał teraz o jaskini, ale o ułomności, która tkwiła w ich rodzinie. Brak codziennych kontaktów czyni związki ludzkie powierzchownymi. Nawet kiedy się jest daleko, trzeba mieć do kogo wrócić.

Pod wieczór uspokoił się na tyle, że zaczął czytać pamiętnik, zwracając uwagę na fakty związane z jaskinią. Nie było ich za wiele. Rodzina Platzów utrzymywała całą rzecz w głębokiej tajemnicy. Dlatego większość faktów wyszperanych przez ojca dotyczyła właśnie jej. Przyglądał się drzewu genealogicznemu wspaniale rozrysowanemu na pożółkłej karcie, dokładnemu spisowi dóbr, korespondencji, datom oficjalnych przyjęć i polowań i tak dalej. W osobnej kopercie były fiszki, każda poświęcona jednemu z członków rodziny. Przeglądał je, lecz poza długą litanią dat urodzin, chrzcin, ślubów czy zgonów, żadnych rewelacji nie znalazł. Chociaż...

Zbyszek cofnął się do środka pliku i wyłowił tę jedną, wyróżniającą się tekturkę. Koło nazwiska Johannes Platz, a właściwie koło daty urodzenia stał wielki znak zapytania. Zrobiony długopisem, z kilkakrotnie pogrubioną linią – jakby ktoś zamyślony jeszcze dłuższą chwilę wodził po kartce. Jedynym, który mógł to czynić, był ojciec Zbyszka, lecz on nigdy nie bazgrał po rzeczach, które zbierał czy katalogował. Co go tak poruszyło w Johannesie Platzu, że zapomniał o zasadach. Faktem jest, że była to nietypowa osoba w rodzinie. Adoptowany, nawet trudno powiedzieć w jakim wieku. Żadnych danych o naturalnych rodzicach nie znalazł, ale to jeszcze było zrozumiałe. Zbyszek jeszcze raz przeczytał zdanie z pamiętnika.

*Im dłużej badam historię tej rodziny i tajemnicy, którą skrywali, tym bardziej jestem pewien, że coś istotnego mi się wymyka. Mam wiele podejrzeń. Część z nich stawiałaby na głowie naszą wiedzę, nasze przyzwyczajenia. Szkoda, że nie możemy o tym porozmawiać. Marek jest wspaniałym człowiekiem, ale nie lubi fantazjowania.*

Zbyszek odłożył fiszki i spojrzał na okno zasłonięte czernią nocy. Bał się, a jednocześnie chciał się nie bać. Koktajl, który małymi łydkami spływał do jego gardła, nieco łagodził to rozdarcie. Było mu wstyd za wczorajszą awanturę w kawiarni. Za to, że przeholował. Nie potrafił się jednak obejść całkowicie bez alkoholu. Teraz pilnował tylko, aby wlewać do szklanki wystarczająco dużo soku.

Ponownie uniósł pięknie wykonany rysunek drzewa rodziny Platzów. Sądząc po ostatnich danych, sporządził go ktoś na początku XX wieku, kiedy Platzowie już definitywnie opuścili swoją siedzibę w Zauberblick. Ciekawe, czy wiedzieli, co zostawiają za sobą? Może sądzą, że do jaskini nikt nie trafi. Trzeba było przenikliwości jego ojca i umiejętności Traczyka, aby sprawa znowu ożyła.

Coś mignęło na powierzchni papieru. Nachylił kartkę, przysunął lampę i nie mógł mieć wątpliwości. Kiedyś była tu linia naniesiona ołówkiem oraz znak zapytania. Potem wszystko wymazano. Ojciec? Powiodł palcem od imienia Johanna w dół karty, aż do Maksymiliana. Czterdzieści lat wcześniej. Czuł ciepło żarówki na włosach, kiedy wpatrywał się w widmowy zarys linii. Ojciec postawił jeszcze strzałkę, wskazując kierunek od Maksymiliana, gdzie właściwie linie się rozdwajały...

Zbyszek odsunął się od lampy i po omacku znalazł fotel. Miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Jak Rogacki to wymówił? Miejsce?! Z nienawiścią spojrzał na resztkę koktajlu w szklance i podszedł do szafki ze sprzętem. Kasetka – kopia tej z biurka Traczyka – była wciąż w środku.

„Marek, pomyliliśmy się, obydwaj warianty są złe. Pod żadnym pozorem nie wolno cofać się w czasie. Rafał rozdzielił się, jak jedno z miejsc”.

Wduszony klawisz szczerknął i zatrzymał taśmę. „Jak jedno z miejsc”, powtórzył Zbyszek, smakując każdy z wyrazów. Nie zrozumieli tego. Myśleli, że spadając w windzie, ojciec coś złe przekazał bądź Rogacki nie rozumiał. Ale to nie tak! Rogacki przecież nie słyszał słów, ojciec Zbyszka wkładał mu myśli wprost do głowy. Można powiedzieć – w warstwie symbolicznej, a nie w konkretnym języku. A Platz po niemiecku znaczy miejsce. Czyli właściwe zdanie brzmi: „Rafał rozdzielił się, jak jeden z Platzów”. O Boże, to zmienia wszystko. Zaraz, a złamana noga? Och, jeśli jaskinia wzmaga pewne umiejętności, dlaczego nie ma leczyć starych blizn.

Rozejrzał się po pokoju, szukając wzrokiem telefonu. Musi zadzwonić do Warszawy. Zaraz, ten jest u żony w szpitalu, ale...

Gong u drzwi sprawił, że aż przysiadł. Przez sekundę gorączkowo myślał, gdzie pochować rozłożone rzeczy, ale w końcu się opanował. Przecież to bez znaczenia. Zaraz spławi gościa, kimkolwiek by był. Mężczyzna za drzwiami prezentował się banalnie. Torba na ramieniu sugerowała jakiegoś posłańca. Może telegram od Traczyka? Przekręcił zamki.

– Pan Orszewski? – spytał nieznajomy, badawczo przyglądając się Zbyszkowi.

– Tak, a o co chodzi?

Przybyły rozważał jakąś decyzję, aby w końcu sięgnąć do torby.

– Dobra. – Wyciągnął z folii mokrą szmatę. – Mam coś dla pana.

Poczuł uderzenie w brzuch, ból i wilgoć na twarzy. Próbował zaczerpnąć powietrza, ale coś ohydneho wypełniło jego płuca. Zza futryny wyszła następna postać. Kopnął z całej siły, potem znów jego uderzono, a potem... Właściwie, przez jakiś czas, nie było już „potem”.

\*\*\*

Zbyszek siedział w fotelu, przewieszony przez poręcz. Nawet gdyby chciał, nie mógłby zmienić pozycji. Skutecznie przeszkadzały mu w tym sznury – ręce miał wykręcone do tyłu i skrępowane. Krzyk także nie wchodził w rachubę, a to za sprawą zwykłego plastra. Napastnicy drzemali na kanapie, ledwie widoczni w świetle lampki nocnej ustawionej na podłodze. Kotary zasłaniały okna, lecz jeszcze za wcześnie było na świt.

Odwrocił głowę. Magnetowid wyświetlał piętnaście po piątej. Minęły ponad dwie godziny, jak odzyskał przytomność. O Boże, przebudzenie było straszne. Środek, którym go uspił, zatrzał organizm i Zbyszkowi zbierało się na takie wymioty, że napastnicy nie wiedzieli, co robić. Młodszy zrobił mu przytomnie gorzką herbatę i na razie przeszło. Nie wyglądali na zawodowców. Prędeż na ludzi o naskórkowej moralności, którym trafiła się gratka zarobienia paru groszy. Jeszcze w łazience, konając nad wanną, usłyszał ich sprzeczkę. Rychło po uspieniu upewnili się, że pomylili osoby. Adres i nazwisko zgadzały się, lecz wiek za cholerę nie. Trochę im ulżyło, gdy Zbyszek wystękał, że jego ojciec zmarł niedawno. Niestety, nie chcąc, aby zleceniodawca wycofał się, zdecydowali trzymać Zbyszka dalej. Poczieszyli go, że tylko do popołudnia. Zbyszek nie sądził, aby mieli dostać cokolwiek za robotę. Nietrudno było zgadnąć, komu mogło zależeć na uziemieniu Jana Orszewskiego podczas otwierania jaskini.

Ponownie zerknął na zegarek. Traczyk powinien być za kilkanaście minut. Obserwując mężczyznę na kanapie, delikatnie zsunął but ze stopy. W porządku, z tym nie ma problemu. Teraz sprawdził, jak idzie mu zrobienie zamachu nogą. Też nie najgorzej. Dzięki fartowi siedział przodem do przedpokoju. Jak dobrze przymierzy, to zaraz po dzwonku trafi butem w drzwi wejściowe. Traczyk musi go usłyszeć, a był pewien, że będzie uzbrojony. Jeden z napastników zamamrotał, potem wstał i ruszył do toalety. Zbyszek przymknął powieki. Bez względu na wszystko musi się uwolnić. W tej przeklętej windzie ojciec dojrzał przyszłość. Nie mógł się pomylić. Dlatego dzisiaj o dziesiątej muszą stawić się w Sieszewach i powstrzymać Rolniaka. Nie tego, który był rówieśnikiem jego ojca. Ten zginął w windzie. Pewnie chciał się spotkać ze swoim duplikatem i dlatego najął tych typów. Należało powstrzymać właśnie młodego Rolniaka, tego, który w 1955 roku narodził się w jaskini. Cud, oczywiście, że cud! Ale jak zauważył Traczyk, cała jaskinia jest cudem. Jeden Rolniak wyszedł, a drugi udał się na skróty czterdzieści lat w przyszłość i dokładnie dzisiaj wyłoni się w Sieszewach. Oto przyczyna, dla której jaskinia wyczerpała się wówczas już po jednej wizycie. To samo zaszło dwieście lat wcześniej z Maksymilianem Platzem. Ale temu wystarczyło, że pozna przyszłość, zostanie zaadaptowany przez samego siebie i przejmie majątek. Nie chciał powrotu w przeszłość i manipulacji z historią. Może zabrakło mu wyobraźni, a może po prostu

pycha Rolniaka była większa. Tak, teraz w pełni to pojął. Rolniak kupił odtwarzacz kompaktowy dla swego sobowtóra. Musiał to wymyślić czterdzieści lat temu, schodząc do jaskini. Rozdzielić się, jeden żyje normalnie i przygotowuje dla samego siebie kompendium wiedzy o tym, co zaszło. Dzisiaj ten młodszy, zawieszony dotąd gdzieś poza czasem, zabiera bryk ze sobą i zdobywa majątek, jak ten gość z filmu. Tylko że tak się nie stanie. Cofając się pod prąd czasu, najpierw unicestwi nasz świat. Przeszłość pomiesza się z przyszłością i eksplodują w wielkim, wielowymiarowym fajerwerku. Może Rolniak sądził, że świat rozdzieli się na wersję ze starym Rolniakiem i na tę z młodym, który w prezencie dostał wiedzę o nadchodzących latach. Może... Wizja ojca dowodzi, jak straszliwie się mylił.

– Chcesz się odpryskać? – Usłyszał zza pleców.

Samarytański gest tak go zaskoczył, że dłuższą chwilę nie mógł się połapać, o co chodzi. A kiedy wreszcie zaprzeczył, u drzwi rozległ się gong. Serce Zbyszka ruszyło do galopu. Typ stał tak, że akurat blokował mu nogi. Zbyszek próbował się przesunąć, lecz tamten siadł na nim, uniemożliwiając gwałtowniejsze ruchy. W panice, dławiąc się pod plastrem, wierzgał rozpaczliwie, aż w sukurs bandycie przyszedł kolega. Znowu gong, potem pukanie – ostre, ponaglące. Zamknęli drzwi do przedpokoju. Hałas, musi zrobić jakiś hałas. Telekineza, tak. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Jak zrzuci telewizor... Uderzenie w żołądek ucięło jego wysiłki. Złapali go we dwóch i przenieśli do łazienki, gdzie wrzucili do wanny. Na wierzchu wylądował koc z tapczanu. Straciwszy nagle wzrok, nie potrafił niczego poruszyć, a poza tym teraz musiał walczyć o oddech. Pukanie umilkło tak nagle, jakby Traczyk zrozumiał, że to bezowocne. Jeden z napastników wyslizgnął się z łazienki i wrócił po dłuższej chwili.

– Jakiś grubas. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Wyciągnęli Zbyszka z wanny i odkleili nadgryziony plaster. Wciągnął łąpczywie powietrze i zaczął szlochać.

– No co jest, facet? – Starszemu zrobiło się go żal. – O piątej powiemy cześć i więcej nas nie zobaczysz. Nawet możesz zawiadomić gliny.

Mylili się. On płakał właśnie nad nimi i nad światem, który za kilka godzin miał zakończyć przedstawienie.

Pół godziny później znowu tkwił na fotelu z nowym plastrem na ustach. Typy wyżerały mu z lodówki wczorajsze zakupy. Obok, na stoliczku położyły kartkę zdjętą z drzwi.

*„Byłem o szóstej. Dzwoniłem. Mam nadzieję, że nic złego ci się nie przytrafiło. Jeśli zdecydowałeś się zostać, rozumiem to.*

*Marek*

*PS. Moja żona miała pozytywny wynik badania raka”.*

To bolało. Posądzenie, że stchórzył. Bolało szczególnie, że Traczyk gotów był zostawić swoją żonę. Bolało także, że ojciec pomylił się. Jak mógł przegapić tych dwóch drani. Winda spadała szybko, odpowiedział sam sobie.

– Odsłoń kotary. – Usłyszał z kuchni. – Trzeba wpuścić trochę świeżego powietrza.

Apatycznie obserwował młodszego, jak podchodzi do drzwi balkonowych. Na magnetowidzie ukazała się siódemka z dwoma zerami. Szurnęły kotary i Zbyszek zmrużył oczy przed światłem poranka. Młodszy nacisnął klamkę, chrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, a potem przylgnął do szyby. Dopiero wtedy Zbyszek dojrzał drugą sylwetkę. Młodszy westchnął i osunął się na podłogę. Do pokoju wślizgnął się Rogacki. Mrugnął do Zbyszka i bezszmerowo przeszedł do kuchni. Cios krótkiej pałki zabrzmiał jak klaśnięcie i drugi z napastników padł twarzą w talerz. Rogacki sprawnie złapał toczący się kubek.

– Nieźle się zabawiacie, nie ma co...

Fachowo sprawdził tętno na szyi mężczyzny, a potem podszedł do Zbyszka. Ostrożnie zdjął plaster i przeciął sznurek.

– Nasmaruj przeguby jakimś kremem – poradził.

Zbyszek odruchowo skinął głową.

– Skąd tu się wzięłeś? Dzwoniłem, ale telefon nie odpowiadał.

– Wyjeżdżałem, przypadek. – Rogacki schował szcoryk do kieszeni. – Na szczęście odezwał się twój stary. Dzisiaj, punktualnie o wpół do piątej.

– Zadzwoń? – Nie mógł powstrzymać pytania, choć wiedział, że Rogacki na nie czeka.

– Nie. – Śmiech świadczył, że miał rację. – Po prostu obudziłem się i już wiedziałem, co mi twój ojciec polecił, wtedy w spadającej windzie. Spryciarz. Wgrał, wymazał z pamięci i ustawił na dzisiaj odczyt z podświadomości. Mógł nieco wcześniej, gdyż ledwo zdążyłem. Byłem w Poznaniu.

– Kazał ci przyjechać. Co jeszcze?  
– Wiem, jak dojechać do Sieszew, ale musimy się spieszyć. Masz dziesięć minut na przebranie się czy co tam jeszcze.  
– A oni? – Zbyszek lekko zatoczył się, gdy wstawał. – To Rolniak, jeszcze przed wypadkiem, musiał zlecić im robotę. Chciał...  
– Szczegóły po drodze. Teraz cichutko zniosę ich do piwnicy. Jak dojdą do siebie, sami grzecznie się zmyją.  
Chciał poradzić, aby uważał na sąsiadów, ale pomyślał, że nie ma co kota uczyć myszy łowić.  
– Swoją drogą, twój stary to porządny gość.  
Zbyszek przystanął w drzwiach łazienki.  
– Powiedział mi na koniec – Rogacki zachichotał – że już nic więcej na mnie nie nagrał. To miłe z jego strony.

\*\*\*

Nad pagórkami wisiała mgła. Lepka i chłodna ścieliła się wzdłuż drogi, gęstniejąc pomiędzy ledwo widocznymi drzewami. Rogacki zatrzymał samochód przy przewróconej budce strażnika. Kropelki rosy niczym paciorki obsiadły druty ogrodzenia. Złamaną tablicę z dwujęzycznym napisem ktoś wrzucił do rowu. Przy kikucie słupka stało żółte renault z warszawską rejestracją.

– Dalej musimy iść pieszo. – Ochroniarz zawahał się moment. – Za kwadrans powinniśmy być na miejscu.

Wzdrygnął się, słysząc przelatującego ptaka, lecz bez słowa ruszył za przewodnikiem. W samochodzie przedstawił Rogackiemu resztę szczegółów. Było jasne, że mimo śmierci Rolniaka zagrożenie wciąż jest takie samo. Z kompaktem czy bez, jeśli młody Rolniak spróbuje wrócić w przeszłość, rozpruje osnowę rzeczywistości. Należało go chwycić i... Tu nawet Rogacki wzruszał ramionami, ale to był problem na później.

Bardziej dzięki zmysłowi równowagi niż wzroku wyczuli, że droga poczyna spadać w dół. Zbyszek wyteżył wzrok. Spoza białej kurtyny przezieraly zarzysy duzej, ceglanej budowli. Zwolnił kroku, zerkając na sylwetkę przed sobą, a potem szybkim ruchem wyjął niewielką buteleczkę. Odkręcił gwint i... zawahał się. Wybór, jakich wiele w życiu. Czy ważny, czy w ogóle warto się starać? Nagle, w geście będącym kulminacją wszystkich dotychczasowych wątpliwości, cisnął szkło w zarośla. „Wytrzymam”, pomyślał i niezgrabnie przeskoczywszy dziurę, dogonił Rogackiego.

Wpierw trasa prowadziła wzdłuż muru z ciemnej, surowej cegły, potem weszli na podjazd, który zaraz zniknął w bryle fortu. Tunel biegł w dół i pachniało jak w dawno nieużywanym garażu. Widać słaba cyrkulacja powietrza nie potrafiła usunąć wżartych w ściany śladów wieloletniej eksploatacji. W świetle latarki, którą dostał od Rogackiego, Zbyszek dostrzegł pod stopami stare plamy smaru. Korytarz, zdolny pomieścić dwie mijające się ciężarówki, przeistoczył się w szeroką salę o sklepionym wysoko suficie. Wyżłobienia podłoga wskazywały, że tutaj po rozładowaniu samochodu zawracały. Dalej szlak rozchodził się na kilkanaście korytarzy czy raczej wejść do magazynów. Zbyt anemiczne światło latarki nie pozwalało na ustalenie tego.

– Daleko jeszcze? – szepnął Zbyszek.

Żle się czuł w ciemnościach pokrytych masywem wzgórze. Rogacki skierował latarkę pod nogi.

– Nie wiem. – Nieoczekiwanie rozłożył ręce. – W tym miejscu kończy się przekaz twojego ojca. Dodał jeszcze tylko jedno słowo: przewody.

Zbyszek zerknął na zegarek i pełnym irytacji gestem omiół ściany. Przynajmniej w połowie wejść zniknęły przewody, kable czy jakieś druty.

– Zostało dziesięć minut, a Marek nadal nie wie, że niebezpieczeństwo wyjdzie zza jego pleców.

Zaglądnęli do paru kolejnych korytarzy, licząc na szczęście. Przeraziłwie zimne, klaustrofobiczne miejsca, gdzie łatwo złamać nogę. Zbyszek wołał, ale głos zapadał się między załomami ścian. Niemal chciało mu się płakać. Utknęli krok od celu. Zamiast mówić Rogackiemu o liczbie nagrań w jego głowie, mógł ojciec dodać choć... Uciał myśli. Nie, to nie tak. Starając się nie uderzyć głową o niską powałę, weszli z powrotem do sali, gdzie zgubili trop.

– Marek jest empatą, potrafi wyczuć to miejsce – wymamrotał Zbyszek czując, jak mu szczękają zęby.

– Przewody, tu wszędzie, psia mać, są przewody.

Oczy Rogackiego rozbłysły kocio.

– Ale nie takie. – Uniósł palec.

Wzrok Zbyszka podążył w ślad za plamą światła, padając na ciąg przerdzewiałych przewodów wentylacyjnych. Niknęły w jednym z niepozornych wejść. Impulsywnie, przekonani o słuszności odkrycia, ruszyli biegiem. Wówczas z głębi dobiegł ich odgłos wystrzału, a potem krzyk bólu. Czyj? Nie wiadomo. Nie zwolnili, jedynie Rogacki wyciągnął broń. Wiedzieli, o co grają. Plamy latarek skakały przed nimi chaotycznie. Korytarz okazał się suchy i niczym nie zastawiony. Biegli więc szybko i nawet Rogacki zdawał się nie pamiętać o ostrożności. A szkoda, gdyż kiedy wpadli do wnętrza jaskini, ustawili się jak na strzeleckiej tarczy. Prosto w ich twarze świecił bladoniebieski prostokąt zawieszony w powietrzu. Brama. W jej blasku zrazu nie dojrzeliby kłęczących postaci. Jęk bólu sprawił, że opuścili głowy.

– Ty, długi! – Usłyszeli twarde głosy. – Połóż spluwę.

W leżącej sylwetce rozpoznali Traczyka. Trzymał się za brzuch, w miejscu, gdzie ciemna plama specjała prochowiec. Człowiek z tyłu używał go jako zasłony. Szarpnął Traczykiem, aż ten jęknął.

– No! Mam mu wsadzić drugą kulkę?

Rogacki przechylił się jakoś dziwnie, lecz zamarł, słysząc głos rannego.

– Zastrzel go. Ja jestem nieważny.

Ochroniarz Rolniaka już raz słyszał podobne polecenie – w windzie, miliony lat świetlnych stąd. Wtedy nie posłuchał...

– Nie! – Głos Zbyszka zabrzmiał jak wystrzał. – Ty niczego nie zmienisz. Tylko ja albo Marek.

Rewolwer upadł na beton. Potem kopnięty szurnął do ręki mężczyzny. Koło nóg Rogackiego upadły kajdanki, pewnie wyciągnięte z kieszeni Traczyka.

– Tam są rury. – Mężczyzna wskazał lufą. – Przykuj się i bez sztuczek.

Powietrze wypełnione jasnością opływało ich sylwetki, przydając delikatnej aury. We wnętrzu bramy przelewały się cienie. Wyglądała jak utkana z błękitnego, eterycznego płomienia.

– To jest Rafał, jak był młody, zaskoczył mnie. – Głos Traczyka balansował na granicy bełkotu. – Pamiętasz słowa...

– Nie męcz się. Odgadłem to, choć trochę późno.

– Zamknijcie się! – Kłęczący mężczyzna nie spuszczał wzroku z Rogackiego. – To prawda, że ja zginąłem? No, ten Rolniak, który tutaj żył?

– Prawda. – Zbyszek dojrzał miniaturowe wyładowania nad podłogą. – Zginął wraz z moim ojcem.

Szczęknęły kajdanki. Rolniak, choć nadal spięty, wstał.

– Istotnie, jesteś podobny do Janka. – Westchnął, jakby w podziw dla samego siebie. – Pomyśleć, że godzinę temu stał przy mnie.

Chwilę rozglądał się po pomieszczeniu, potem odezwał się znowu.

– Pewnie chcieliście przeszkodzić mojemu sobowtórowi. – Machnął lekceważąco ręką. – Głupio się przyznać, ale mam to w poważaniu. Tak naprawdę, on dla mnie nie istniał. Jest taką samą fikcją, jak cały ten wasz świat. Chociaż, nie powiem, pożyteczna to fikcja. Patrzcie, taka okazja. – Wskazał bramę. – A tylko ja skorzystałem.

– Jest szalony. – Traczyk chrapliwie wciągnął powietrze. – Mówiłem mu o skutkach...

– Mówicie, że jestem szalony? – Młody Rolniak oblizwał wargi. – W porządku. Powiem wam, co myślę. Widzę cały wszechświat leżący u Pana Boga na stole. Idąc wzdłuż stołu, Bóg przystaje i podziwia, a to powstanie układu słonecznego, a to mamuty. Kawalek dalej jaskiniowiec wali drugiego w łeb, potem mamy Rzym, wojny światowe i tak dalej. Brama pozwala nam łączyć różne chwile. Pan Bóg dał ludziom taką szansę, a kto nie korzysta, to frajer.

– Ale ostatnie teorie naukowe... – zaczął Zbyszek, lecz Rolniak nawet nie zamierzał podjąć dyskusji.

– Daj spokój, koleś. Jesteście tchórzami. – Wskazał w bok. – Podnieś lepiej ten pręt.

Złość zalała Zbyszka szybką falą. Zapragnął chwycić... Rolniak przykucnął, łapiąc ramieniem Traczyka pod gardło.

– No! Tylko bez sztuczek! – wrzasnął. – Wiem, co twój stary umie. Spróbuj tylko. Czuję jedno drgnięcie i walę mu w łeb.

Wokół Zbyszka powietrze zgęstniało, jakby przyciągane zdławioną energią.

– Co chcesz zrobić? – Ledwo hamował emocje. – Oni zginęli, nie ma nic dla ciebie. Nie masz co zabrać w przeszłość. Odłóż broń, trzeba pogadać, a jego zabrać do szpitala.

Rolniak przez moment szacował go wzrokiem.

– Pogadać... jesteś jak twój stary. – Wyciągnął rękę. – Bierz ten pręt, a pokażę ci, co będę miał do zabrania.

Zbyszek przyniósł metalowy ułomek. Jego urodzony wiele lat wcześniej rówieśnik zlustrował pomieszczenie. W końcu uśmiechnął się krzywo.



– Podważ płytę, na której stoisz! – rozkazał.

Zbyszek nachylił się i wbił łom w szczelinę między płytkami podłoga. Posadzka uniosła się bez specjalnych trudności. Pod spodem leżały deski.

– No, wyciągaj, co tam jest.

Niżej, we wgłębieniu, owinięty w plastikową folię spoczywał kompaktowy odtwarzacz. Zbyszek ujął go w dłoń i wstał. Czarne pudełko okazało się zadziwiająco ciężkie. Przez folię prześwitywała kartka naklejona ponad klawiszami: „Wystarczy nacisnąć START”.

– Zniszcz... – zaczął Traczyk, lecz umilkł, kopnięty boleśnie przez zjawę z przeszłości.

Rolnik wymierzył broń prosto w twarz Zbyszka.

– Dawaj ten wasz dekadenski cud techniki!

– Gówno! – wrzasnął Rogacki.

Rolnik wykonał błyskawiczny półobrót i wypalił w jego stronę. Kula odbiła się od rury.

– Pieprzę was, palanty! – Rolnik potrząsnął bronią. – Chcecie żyć, to spokój!

Filtr, pomyślał Zbyszek, jaskinia rozdzieliła linię życia Rolniaka wzdłuż pęknięcia przebiegającego przez jego duszę. Podział nie był dychotomiczny: dobro i zło. Nie bardziej jak w naczyniu z odstałą wodą. Można by powiedzieć, że Rolnik stojący przed nim został zaczerpnięty blisko dna. Kim więc był ten, który zginął w windzie? Podświadomie czuł wagę tego pytania. Psi skowyt rannego przywrócił Zbyszka do rzeczywistości.

– Słyszysz, palancie?! – Błada twarz Rolniaka drgała ze wściekłości. – Dajesz czy...

Zbyszek ruszył ku niemu. Nie słyszał słów leżącego Marka ani warczenia Rogackiego. Właśnie pojął, jak musi rozegrać tę partię.

– Stój! Połóż na ziemi i won do tyłu.

Postuchał. Pod sufitem sali rozkwitły nieme rysy błyskawic. Rolnik rozciął folię.

– Główka pracuje, no nie? – wymruczał cicho, a potem rozejrzał się z triumfem. – Chcieliście, frajerzy, mnie przechytrzyć, co? Ale ja potrafię być przewidujący.

Z niezdrową fascynacją wodził wzrokiem po opływowej obudowie kompaktu. Jego palce z miłosnym uwielbieniem musnęły przyklejoną instrukcję. Widział już siebie bogatego, niezastąpionego, na szczycie władzy. Był całkowicie odporny na pytania: dlaczego?, za jaką cenę? Zbyszek poczuł pewność, że wtedy w windzie tę właśnie scenę dojrzał jego ojciec. Dobry Stwórca musiał mu także podsunąć rozwiązanie, gdyż nadzieja zawsze towarzyszyła jego poczynaniom.

– Teraz się pożegnamy. – Rolnik wstał. – Wracam urządzić świat po swojemu.

Rozbawiony własną kwestią roześmiał się ochryple. Zrobił krok ku bramie, a podłogę przebiegł krótki dygot. Nie zauważył tego.

– Zbyszek – jęknął Traczyk.

Na więcej nie było go stać. Zbyszek spokojnie obserwował, jak młody człowiek z twarzą skażoną złem cofa się.

– Kiedy twoje drugie „ja” żyło dalej, zmieniało się, wiesz o tym? – spytał, gdy tamten znalazł się o krok od uchylonych wrót Armageddonu.

Krzyk prośby czy nienawiści nie zatrzymałby Rolniaka, lecz słowa Zbyszka – suche i rzeczowe – były zbyt nieoczekiwane.

– Może, no i co?

– Twój starzejący się duplikat z dnia na dzień zazdrościł ci, że trwasz gdzieś poza czasem, a potem wrócisz obdarowany wiedzą i odmienisz świat według własnej woli. Zazdrościł ci tego. Piekielnie zazdrościł.

Lufa pistoletu Rolniaka skierowała się ponownie w stronę Zbyszka.

– Do czego zmierzasz?

– Poza tym myślę, że on trochę uwierzył mojemu ojcu, kiedy go ostrzegał przed cofaniem się w czasie. Zaczął się bać, że głupi młodzieńczy wybryk zniweczy wszystko, co osiągnął. – Zbyszek lekceważył wyraz twarzy Rolniaka. – Niechący popsuliśmy mu to, ale teraz pora naprawić błędy.

Brama za Rolniakiem gotowała się kipiłą rozedrganego błękitu. Któż mógł przypuszczać, że ten kolor może być zaproszeniem do piekła. Zbyszek opuścił wzrok na CD-ROM trzymany przez mężczyznę.

– O czym ty mówisz!?! – ryknął Rolnik spowity w aureoli wyładowań.

– Ano o tym, że zgodnie z jego planami powinieneś być od razu nacisnąć ten klawisz. Zagadałeś się z nami, ale nie szkodzi. – Uśmiechnął się z bólem. – Pomogę ci.

Koncentrując swą wolę w jednym, prostym poleceniu, wdusił klawisz odtwarzacza trzymanego przez Rolniaka. Siła eksplozji rozerwała ukryty w środku pojemnik z gazem, okrywając ciało mężczyzny

mleczną zawiesziną. Wybuch co najwyżej pokaleczył mu ręce, lecz wystarczyło, aby broń upadła na podłogę. Próbował się schylić, lecz w połowie ruchu zrozumiał, że jest to niewykonalne. Gaz wdarł się do płuc, atakował przez skórę. Jakby dziecinne rozżalenie pojawiło się w oczach Rolniaka. Mimo to, na wpeł sparaliżowany, ruszył ku bramie, aby dopełnić przeznaczenia.

– Zatrzymaj go! – Krzyk Rogackiego zahuczał w obolałej głowie Zbyszka.

Poczuł, jak jego umysł rozpina naprężoną sieć woli. Więzy silne niczym struny złapały Rolniaka, przytrzymały i puściły, dopiero gdy gaz dokończył dzieła. Ciało opadło na płyty podłoża. Zbyszek poczuł na twarzy lepka ciecz, lecz nie reagował, póki nie wepchnął resztek zawiesiny w bramę. Potem poczuł słony smak. Krew, pomyślał i zapadła ciemność.

\*\*\*

Kiedy odzyskał przytomność, najpierw doszedł do niego zapach wody kolońskiej, potem dojrzał ustawione na podłodze latarki. Brama zniknęła.

– Zaraz poczujesz się lepiej. – Rogacki uśmiechnął się spoza kręgu światła. – Zatrzymałem krwotok. Muszę wracać do Traczyka.

Marek leżał metr dalej, blask uwypuklał trupią bledź jego skóry. W powykręcanych płaszczu, z opuchniętą twarzą przypominał morsa, który wyszedł na brzeg i dopiero wtedy dowiedział się o sile grawitacji. Kiedy Rogacki rozpiął mu koszulę, ciężko jęknął. Dłoń Rogackiego, uprzednio przypięta do kajdanek, również nie wyglądała najlepiej. Zbyszek przekręcił się na bok, a potem usiadł. W głowie wirowało mu jak po straszliwym wysiłku. Czubkami palców dotknął swego nosa.

– Boli. – Głos Traczyka odbity od ścian pustej sali powrócił tysiącem szeptów.

Rogacki delikatnie położył dłonie na ranie. Potem zamruczał coś melodyjnie, poruszając przy tym palcami, a gdy odsłonił brzuch, rana była już zasklepiona. Jeszcze nigdy Zbyszek nie widział tak radosnego uśmiechu.

– Zawsze lubiły mnie zwierzęta. – Odezwał się ochroniarz trochę bez związku. – Twój ojciec otworzył coś we mnie, ale tutaj poczułem, że mogę więcej, że...

Szukał słów, lecz w końcu opuścił tylko dłoń i położył na betonie grudkę ołowiu. Zbyszek zrozumiał, że Rolniak nie przypadkiem właśnie jego zatrudnił. Musiał coś przeczuwać. Jaskinia, ludzie z nią związani nosili znamię niezwykłości.

Traczyk kaszlnął i uniósł się. Miał minę człowieka stojącego na tafli lodu ze stertą porcelany w rękach. Kiedy uwierzył, dotknął, a potem poklepał swój pokaźny brzuch. Następnie zapiął koszulę i marynarkę, gdyż w sali robiło się coraz chłodniej.

– Myślę, że brama zniknęła definitywnie. – Traczyk rozejrzał się wokoło. – Nie czuję, absolutnie jej nie czuję.

Zbyszek patrzył na ludzki kształt, leżący poza kręgiem światła.

– Sądysz, że zdaliśmy egzamin? – spytał.

W milczeniu przyglądali się, jak Rogacki zakrywa ciało swoim płaszczem.

– Nie wiem. Myślę, że go nie oblaliśmy. Nie chcę o tym myśleć. Wczoraj moja żona miała ważne badania, potem jeszcze się potłukła, powinienem być z nią. – Traczyk westchnął. – Dzięki Bogu, że wynik był negatywny.

Podszedł do Rogackiego i zaczęli rozmawiać. Postanowili nie zawiadamiać policji, a ciało Rolniaka pochować w lesie. Kiedy wynieśli je na zewnątrz, Zbyszek został przy ścieżce obserwując, czy nikt nie idzie. Mgła opadła, odsłaniając wilgotny las. Po raz pierwszy od tygodnia, kiedy wypił ostatni kieliszek i poszedł na spotkanie Anonimowych Alkoholików, uświadomił sobie, że nie ma ochoty na nic mocniejszego. Przysiadłszy na murku, zapatrzył się w chmury płynące po niebie – w każdej chwili inne, a przecież wciąż te same.

Rolniak nawet niegłupio wymyślił ten stół i Boga pochylonego z uwagą. Jego małe serce nie pozwoliło mu spojrzeć dalej. Nasz świat nie jest zastygłym obrazem, wprost przeciwnie: dynamiczny i nieodgadniony zmienia się bezustannie. Zmienia się w jednym z nieobserwowalnych wymiarów – swoistym czasie, który istnieje tylko dla Stwórcy, usilnie starającemu się pomóc – małym, krnąbrnym, lecz na swój sposób cennym istotom. Aleksander Wielki władający od Atlantyku po Morze Japońskie, wybuch jądrowy nad Manhattanem i zwycięstwo państw Osi, wielka zaraza wymykająca się z laboratoriów, pustosząca pół Europy, wszystko to zaszło, lecz dla nas nigdy nie miało miejsca. Nieaktualne, odrzucone możliwości. My, ograniczeni w czterowymiarowej płaszczyźnie stołu, potrafimy objąć rozumem jedynie nasz wszechświat, będący tylko jedną aktualną konfiguracją ewoluującego dzieła

stworzenia. Nie potrafimy dostrzec skutków naszych czynów rozchodzących się falami w przód i – co dziwniejsze – w tył naszego czasu. Do czego ono zmierza? Byłoby znacznym uproszczeniem stwierdzić, że do doskonałości. A może samo dążenie jest celem?

Kroki nadchodzących sprawiły, że zeskoczył na ziemię. Traczyk niósł w dłoni mokry ręcznik, zamoczony w strumieniu.

– Masz, obetrzyj twarz.

Zbyszek wytarł zaschlą krew i ruszyli z powrotem.

– Ciekawe – zamruczał Rogacki. – Jeśli chodzi o gaz, to plan starego Rolniaka był bardziej morderstwem czy samobójstwem?

Zbyszkowi nie chciało się podejmować tematu. Nawet na kolejne pytanie odpowiedział za niego Traczyk.

– Jak wpadł, pytasz. Ufał wizji swego ojca. Wierzył, że zawsze musi być szansa, a bomba była ostatnią możliwością, która nam pozostawała. Prawda, Zbyszek?

Uśmiechnął się tylko. Jeszcze przyjdzie czas na rozmowy, pomyślał, ciesząc się zapachem lasu i twardości kamieni pod stopami.

Szli z Markiem wolno, smakując ciszę, pozwalając Rogackiemu pójść przodem. Dlatego, kiedy dotarli do samochodów, stał oparty o maskę i przeglądał gazetę. Usłyszał ich kroki.

– Cholerny świat. Znow kogoś okradli w tramwaju.

Trzepnął dłonią w gazetę i z poirytowaną miną zaczął przerzucać dalsze strony. Mruknął rozgniewany:

– Jak tak dalej pójdzie, to kiedyś tylko o mordercach będą pisać.

Traczyk popatrzył na Zbyszka ponad dachem wozu i powiedział pogodnie:

– Za miesiąc idę na emeryturę. Będę żył na własny rachunek.

Zbyszek odpowiedział uśmiechem i usiadł na swoje miejsce. Kiedy ruszali, jeszcze jedna myśl przyszła mu do głowy. Rolniak dobrze wymyślił stół, lecz całkowicie chybił, jeśli chodzi o miejsce Stwórcy. On nie stoi jako widz, lecz nieustannie jest ze swoim dziełem. Czy to na krzyżu, czy w drobnych znakach dodających ludziom otuchy, gdyż dzieło Stworzenia, cała historia świata nadal trwa, od początku do końca. Dlatego też warto się starać.